Cena 1,50 zł

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok II. ŁÓDŹ, dn. 27 grudnia 1959 r.

Nr 52 (96)

WIESŁAW JAŹDŻYŃSKI

ŁYKTUS BENEDYKTUS!

I znowu mija rok, jak z bata strzelił. Za oknem ostry wiatr, w oknie fantastyczne ogrody. Wymalował je mróz, najciekawszy spośród nowoczesnych plastyków. Chociaż z równym powodzeniem może padać deszcz. Dzieci przeżywają ostatnie dni roku jak czarodziejską baśń. Szukają pierwszej gwiazdy na niebie, zaglądają do pokoju, który pachnie świeżą jedliną — czy przyszedł już kochany Mikołaj, zaopatrzony w artykuły sprzedawane przez niezawodny MHD. Dla nas zaś, starszych i statecznych Polaków stygnie odrobineczka wódki świątecznej. Tradycyjny śledzik w dzień wigilijny, nazywany od początku naszej ery, ważną i poufną konferencją, której nawet żona przerwać nie może, kieliszek w domu, kieliszek u znajomych, kieliszek w drodze, zbierze się razem może litr albo dwa. I tak jakoś stajemy się w tej atmosferze starsi o rok, wyjąwszy — rzecz prosta — kobiety.

Mija rok, trudno o porę bardziej sposobną do refleksji. Uczyńmy więc remanent świąteczno - noworoczny w sprawach kultury, ale uczyńmy bez Państwowej Inspekcji Handlu i innych ważnych organów, które patrzą nieuczciwym ludziom na ręce i dezynfekują sumienia.

Nasze miasto, miasto w którym żyjemy, oparło się w roku, który właśnie mija, próbie całkowitej parcelacji. Lansowali ją agenci „Warszawki", przeważnie z wyższym wykształceniem. Pan profesor i doktor Kott, który pracuje w Łodzi, każdego pierwszego, kiedy wypłacają pensję, zabierał się do przenoszenia teatru Dejmka do łona stolicy, profesorowie Bohdziewicz i Bossak chcieli zrobić to samo z Wyższą Szkołą Filmową. O ile dobrze wiadomo — w dalszej perspektywie miało nastąpić wywłaszczenie Łodzi z Politechniki, Szkoły Teatralnej, elektrociepłowni, tramwajów i autobusów, ratusza, herbu, a jak wynika z ostatnich doniesień równie i wody, gdyż jedna Wisła to dla Warszawy za mało.

Próby wywłaszczenia Łodzi aż do całkowitej likwidacji nie udały się, były jednak możliwe na skutek braku ducha w tutejszym narodzie. Wciąż jeszcze mówiło się, przynajmniej w pierwszej połowie roku, że lepiej w Warszawie być łazikiem niż w Łodzi Słobodnikiem. Sam Słobodnik tak pomyślał i wyjechał. A inni także grymasili, że Łódź to Rypin, pomalowany dla niepoznaki na czerwono. Natomiast obrońcy grodu nad łódką przeciwnie — cacy, cacy rodacy, w metropolii kulturalnej sobie żyjemy.

Ale prawdy o życiu kulturalnym miasta pracy nie dało się odkryć poprzez harce prasowe. Nie odkrył jej redaktor warszawskiej „Współczesności", kiedy z okien knajpy Spatifu ogarniał wzrokiem nasze miasto, ani zawiedziony malkontent w gabinecie, zapatrzony w swoje własne popiersie z gipsu. Prawda leży bowiem w dzielnicach robotniczych, starych i nowych, gdzie żyje większość ludzi pracy, i od ich udziału w życiu kulturalno-uprzysłowym Łodzi zależy panorama kulturalna naszego miasta.

Możemy sobie powiedzieć że teraz, kiedy kończymy rok, jesteśmy w lepszej sytuacji. Po prostu znamy już wyniki badań nad życiem kulturalnym mieszkańców Łodzi. Co prawda od tej wiedzy sytuacja się nie poprawiła, ale poznanie stanowi zawsze warunek poprawy. Wiemy więc, że połowa robotników nie ukończyła szkoły podstawowej, trafiają się jeszcze nie tak znów rzadko analfabeci. 33,3 procent robotników w ogóle nie czyta książek, prawie 18 procent nie pamięta ani jednego autora. 37 procent robotników nie chodzi w ogóle do kina, albo chodzi raz koło Wielkiej Nocy. Ma zresztą daleko do kina. Na Bałutach, które liczą 125 tys. mieszkańców (Częstochowa) brak 2500 miejsc w kinach. Na Chojnach, gdzie mieszka 110 tys. ludzi (Radom) brak 2000 miejsc.

Pociągniemy w roku 1960 remanenty rozmaitych pono-

Dokończenie na str. 2

JACEK LEBEN

O ROKU ÓW!

W roku, który mija wydarzenia polityczne następowały jedno po drugim z zaskakującą szybkością, godną wieku rakiet i atomu.

Ale czy my wszyscy, pasażerowie kosmicznej rakiety zwanej Ziemią, odczuwaliśmy tę szybkość? Czy dzisiaj nawet, kiedy tradycyjnie wypada obejrzeć się wstecz i rzucić okiem na rok miniony uzmysławiamy sobie, że rok 1959, to rok, który zapewne przejdzie do historii?

Wydaje mi się, że chyba nie w pełni umiemy dostrzec rangę tego roku i nie w pełni umiemy określić drogę jaką świat w tym roku przebył.

„O roku ów" 1959. Obfitowałeś w dziwy nad dziwami, które warto teraz u twego schyłku przypomnieć.

I

2 styczeń. Na nowojorskim lotnisku ląduje samolot z którego wysiada Anastaz Mikojan — wicepremier Związku Radzieckiego. W tym samym czasie wszystkie radiostacje i wszystkie gazety świata podają za TASS komunikaty o locie pierwszej radzieckiej rakiety księżycowej. Rakieta mija Księżyc, staje się satelitą Słońca. Anastaz Mikojan bawi w Ameryce przez 10 dni. Jego pobyt w Stanach jest światowym wydarzeniem nr 1. Dowcipny, zręczny, świetny polityk, reprezentant państwa, które wypuściło Łunnika — Anastaz Mikojan rozmawia przez kilkadziesiąt godzin z czołowymi politykami Stanów Zjednoczonych. Oczywiście, amerykańscy politycy zdają sobie sprawę z siły i znaczenia Związku Radzieckiego w świecie. Stąd niedaleko do wniosku, że jeżeli nie można wojować, to trzeba żyć, czyli współistnieć.

A dzieje się to w dniach berlińskiego kryzysu. Nic więc dziwnego, że kanclerz Adenauer mimo usilnych nawoływań nie znalazł kompanów do bicia pięścią w stół w sprawie Berlina. Stop!

II

Luty. XXI Zjazd KPZR w Moskwie. Plany Związku Radzieckiego zaaprobowane przez XXI Zjazd zakładają osiągnięcie w 1970 r. obecnego poziomu produkcji Stanów Zjednoczonych. Dziw polega na tym, że w Stanach Zjednoczonych po raz pierwszy nie odezwały się ani kpiny, ani słowa niewiary. „New York Times" napisał: „Stany Zjednoczone czują za plecami gorący oddech Związku Radzieckiego". Stop!

III.

Marzec. Lotnisko Wnukowo pod Moskwą. Z samolotu wysiada gentleman, w którym już z dala można poznać Anglika. Jest to Anglik nr 1 — premier W. Brytanii Harold Macmillan.

Zręczny Anglik zrozumiał, że jeżeli W. Brytania nie chce znaleźć się na bocznym torze, to musi wziąć czynny udział w rozmowach między Wschodem a Zachodem. Macmillan postawił więc na jedną kartę — przyjechał do Moskwy, by pytać o cenę za Berlin. Cena wyznaczona przez Związek Radziecki brzmiała: rokowania. Macmillan stał się na Zachodzie orędownikiem rokowań między Wschodem a Zachodem. Stop!

IV.

Sierpień. W Moskwie otwarcie amerykańskiej wystawy. Otwarcia wystawy dokonuje wiceprezydent Stanów Zjednoczonych Nixon. Nixon oświadcza w jednym ze swoich przemówień: „Wojna może przynieść jedynie zniszczenie obu stronom" „A" współistnienia zostało wypowiedziane. Stop!

V.

Wrzesień. Do Stanów Zjednoczonych na zaproszenie prezydenta Eisenhowera przybywa premier Związku Radzieckiego Nikita Siergiejewicz Chruszczow. Rozpoczyna się „wizyta stulecia". O wizycie tej napisano tak wiele, że trudno u schyłku roku cokolwiek dodać. Premier Chruszczow potwierdził, że społeczeństwo amerykańskie jest w swojej większości antykomunistyczne. Prezydent Eisenhower cieszy się powszechnym szacunkiem i poważnie traktuje sprawę rozbrojenia. Społeczeństwo amerykańskie poznało bliżej silną osobowość radzieckiego premiera — uosobienie radzieckiej potęgi i prężności radzieckiej dyplomacji.

VI.

Wrzesień — październik. „Łunnik-2 i 3". „Łunnik-2" trafił w Księżyc. „Łunnik-3" wszedł na orbitę Księżyca i przekazał na Ziemię z odległości dziesiątków tysięcy kilometrów zdjęcia jego niewidzialnej strony.

Człowiek rozpoczął kolejny etap podboju kosmicznych przestworzy. Ten człowiek to człowiek radziecki. Precyzja z jaką uczeni radzieccy posiedli umiejętność kierowania rakietami w kosmicznych przestworzach i precyzja rakiet, którymi kierują wzbudziła powszechny podziw.

Glob ziemski jest mały z perspektywy „Łunnika". Stop!

VII.

Prezydent Eisenhower odbył podróż do 10 krajów Europy, Azji i Afryki. Pierwszy z trzydziestu sześciu dotychczasowych prezydentów Stanów Zjednoczonych odbył tak długą podróż i zawitał do Azji i Afryki.

Włoscy komuniści ciepło powitali prezydenta Eisenhowera w Rzymie. Na domach rzymskich dzielnic robotniczych pojawiły się plakaty powitalne wydane przez rzymski oddział Włoskiej Partii Komunistycznej. Komuniści włoscy demonstrowali na rzecz współistnienia widząc w Eisenhowerze człowieka, który podjął dialog ze Wschodem.

Idea osobistej dyplomacji mężów stanu lansowana przez wiele lat przez premiera Chruszczowa podbiła świat. Stop!

VIII.

Inny niż inne dziwy. Dziw negatywny. Dziw wskazujący na to, że są miejsca na tym globie, gdzie wskazówki zegara wydają się cofać wstecz.

Jest w Europie takie miasto Bonn. To niewielkie miasto jest stolicą Niemieckiej Republiki Federalnej. W tym mieście jest ministerstwo do spraw przesiedleńców. Szefem w tym ministerstwie od wielu lat jest Herr Oberlander. W tym wszystkim nie byłoby żadnych dziwów gdyby nie to, że ów minister bońskiej „demokracji" to SS-mann z krwi i kości. I to nie byłoby takim dziwem, bowiem w bońskiej „demokracji" jest dużo SS-mannów na eksponowanych stanowiskach. Oberlander jest jednak SS-mannem o wybitnych zasługach. W 41 roku Oberlander jako oficer polityczny słynnego batalionu „Nachtigal" kierował rzezią ludności Lwowa. Podwładni Oberlandera rozstrzelali wówczas m. in. 27 wybitnych polskich profesorów i intelektualistów wśród nich prof. Bartla i Boya-Żeleńskiego.

Mimo oskarżeń rząd boński broni Oberlandera. Widocznie Oberlander pasuje do bońskiego rządu.

* * *

No cóż, dziwy zostały przypomniane. Czy teraz lepiej dostrzegasz. Czytelniku jaką drogę przebyłeś wraz ze światem w ciągu jednego roku 1959.

Początek tego roku tkwił korzeniami w groźnym berlińskim konflikcie. Pod koniec roku Związek Radziecki, i Stany Zjednoczone zgłosiły w ONZ wspólną rezolucję rozbrojeniową, doszło do porozumienia w sprawie Antarktydy i w sprawie dalszego wstrzymania doświadczeń z bronią termojądrową.

Końcowa stacja nazywa się współistnienie. Czy daleko jeszcze do tej stacji? Trudno powiedzieć. Ale szmat drogi został już przebyty.

TADEUSZ PAPIER

JAKI CIEŃ przed tobą STANIE?

Tyle się mówi o pracy nauczyciela, o jego poświęceniu, ofiarności i jeszcze innych zaletach, że z pewną trudnością przychodzi mi popsuć nieco ten idealny obraz. Nie jest to z mojej strony złośliwość, ani nieuczciwy chwyt polemiczny. Nie wypada nawet, aby w tak zwanym świątecznym numerze, kiedy wszyscy naokoło prawią sobie najprzeróżniejsze grzeczności, zabawiać się w złośliwego ironistę albo ogrywać rolę słonia... w składzie porcelany.

O cóż chodzi? Nie pierwszy to raz i nie ostatni spotykamy się z różnymi, niezbyt przychylnymi sądami o nauczycielu. Wyczytałem na przykład w pewnym „dokumencie" zdanie, które mimo że zawiera sporo prawdy, jest także niesprawiedliwe. Ów dokument to po prostu przemówienie przedstawiciela władz szkolnych, wygłoszone kilka miesięcy temu na sesji MRN, poświęconej sprawom oświaty. Powiedziano więc, że „nauczyciele nie zdają sobie na ogół sprawy z obowiązków, jakie na nich ciążą w związku z funkcjami wychowawczymi szkoły". To zarzut urzędowy. Ściślej jeszcze: władz szkolnych. Wizytacje szkół niejednokrotnie podnoszą tę kwestię. W klasach młodszych — brzmią relacje wizytujących — nauczyciele dają sobie radę, w klasach starszych, od piątej do siódmej, są nieporadni.

Po pierwsze: ten zarzut nie dotyczy wszystkich nauczycieli. To jest jasne. Można mówić o wyjątkach. Ale zawiera w sobie akcent uogólniający i dlatego chyba można z nim polemizować. Po drugie: nieco dalej jest powiedziane, że wina za ten stan rzeczy nie spada wyłącznie na nauczycieli: przyznają się do niej władze oświatowe, które do niedawna ograniczały treść wychowania do „łatwo uchwytnych formalnych momentów takich, jak np. rozkład materiału nauczania, realizacja programu w sztywno określonym czasie, klasyfikacja uczniów itp."

Wynikałoby więc z tego, że i nauczyciele i władze oświatowe nie bardzo zdają sobie sprawę z funkcji wychowawczych szkoły. Powiedzmy, iż tak jest.

Dlaczego jednak nauczyciele, ci najmłodsi, nie są dostatecznie przygotowani do wypełniania funkcji wychowawczych?

W Łodzi jest przeszło 139 tysięcy uczącej się młodzieży. Nad nauczaniem, kształceniem i wychowaniem tych młodych ludzi pracuje kadra wychowawczo-nauczycielska w ilości 5.704 osoby, w tym 440 emerytów i 2679 kobiet. Kadra szkół podstawowych obejmuje 3.166 nauczycieli. Wyższe wykształcenie posiada 557 osób, to znaczy 20 proc. Inni muszą „dorabiać". 24 proc. nauczycieli szkół średnich musi jak najszybciej ukończyć pełne studia wyższe. Kuratorium stara się o utworzenie na Uniwersytecie Łódzkim studium zaocznego kierunków filozoficznych. Do tychczas udało się załatwić studia fizyki i matematyki. Dawniejsze szkolenie WODKO przejął teraz Związek Nauczycielstwa dając szerokie możliwości doskonalenia zawodowego i kulturalno-towarzyskiego. Chodzi o to „aby przez wytworzenie więzi towarzyskiego współżycia przyciągnąć nauczycielstwo do systematycznego szkolenia się."

Kuratorium szkoli nie tylko nowych nauczycieli, ale musi rozwiązać problem dokształcenia 1857 czynnych nauczycieli szkół podstawowych ze średnim wykształceniem pedagogicznym.

Jak z tego widać poważna część nauczycieli musi pracować nad sobą. To nie jest łatwe, jeśli zważyć warunki w jakich pracują nasi pedagogowie, jeśli uświadomić sobie przetłoczone szkoły albo inaczej — ciężkie i wyczerpujące warunki pracy.

Ale to jest tylko jedna strona medalu. Nauczyciele mają więcej kłopotów niż włosów na głowie. Licea ogólnokształcące skarżą się na złe wychowanie młodzieży. Wizytacje szkół podstawowych przynoszą oceny, że uczniowie „nie mają wyrobionych nawyków i przyzwyczajeń w zakresie kultury życia codziennego". W tych wypadkach nauczyciele najczęściej odwołują się do domu rodzinnego, jako do instytucji dającej elementarne podstawy wychowania. Ale wiadomo, jak się układają stosunki domu ze szkołą. Czy wszystkie środowiska rodzinne są w stanie pomóc szkole? Czy nie ma takich, które w tym wychowaniu nawet przeszkadzają?

Wychowanie w dużym mieście jest trudne bez względu na to, czy sobie nauczyciel w pełni uświadamia wychowawczą funkcję szkoły, czy tylko częściowo. Jest trudniejsze niż na wsi. Nauczyciel wiejski zna dobrze swoje środowisko, jest jak doświadczony lekarz, który zna przyczyny choroby i wie, jak je usunąć, w najgorszym wypadku zahamować proces rozwoju. Nauczyciel w mieście jest często bezradny. Stoi przed swoją olbrzymią klasą jak przed wielką niewiadomą. Nie zna środowisk, z jakich pochodzą uczniowie, nie jest w stanie, nie ma na to czasu, aby poznać skomplikowaną sytuację rodzinną i społeczną rodziców, nie jest w stanie uchwycić tysiąca sprężyn, które oddziaływają na ucznia. Stwarza to dla niego mnóstwo dodatkowych kłopotów, nieraz wręcz nie do rozwiązania. Czy można w takich warunkach mówić o niezrozumieniu funkcji wychowawczej szkoły? Naiwny to zarzut. Nacisk powinien iść na środowiska bo one nie rozumieją istoty wychowania, rzadziej na nauczyciela.

Jest jeszcze i trzeci aspekt tej sprawy: sam nauczyciel, który także jest człowiekiem. W jednej ze szkół kierowniczka nie wyraziła zgody na to, żeby dziennikarz opisał w reportażu życie prywatne nauczycieli. Sytuacja wprost się napraszała, żeby pokazać nie zawsze wygodne mieszkanie, odrysować nauczycielkę dźwigającą węgiel na trzecie lub czwarte piętro, nie mającą czasu na swoje domowe sprawy.

Nie wiem czy to słuszne stanowisko, ale wzruszające na pewno. Nauczyciele, to taki dziwny i niezrozumiały „naród", tacy ludzie, którzy umieją zostawić za progiem szkoły swoje powszednie troski i zmartwienia. Nauczyciel nie chce tracić autorytetu w oczach dziecka, nauczyciel wie, że wywiera duży wpływ na życie dzieci i od tego procesu wrastania uzależniony jest jego wpływ na ucznia i za pośrednictwem ucznia na dom. Dzieci są cieniami nauczyciela, towarzyszącymi mu przez całe życie. Można sobie pozwolić z okazji tego świątecznego felietonu o nauczycielu na przytoczenie ludowego porzekadła: „Już!... A teraz patrz na ścianie, jaki cień przed tobą stanie..."

Łyktus Benedyktus!

(Dokończenie ze str. 1)

dzenia. Nie warto chyba przypominać przedwojennego systemu oświatowego, który nie sięgał w głąb dzielnic robotniczych... Zresztą... tamtymi zaśniedziałymi czasami powodował ich zakichany interes klasowy, a... dajmyż temu spokój, wszak przeżywamy chwile osobliwe i wzniosłe. Świeci choinka, błyszczą złote sardynki i śledziki srebrne, różowi się szynka, czerwieni wiśniak. Oby nam się!...

Ale to jest uparty fakt — w nowych osiedlach nie zaplanowano ani jednego kina, ani świetlicy, ani biblioteki, ani klubu, ani żadnej innej rzeczy, która z kulturą związana jest. Nic z tych rzeczy dla Żubardzia, Kuraka, Stoków, Chojen, Julianowa, Kozin, czy Widzewa — pod takim widać hasłem budowano nowe dzielnice w roku pańskim 1958. Wcześniej też. Ponieważ jednak zaplanowano knajpy, będzie gdzie wypić za pomyślność rozwoju kulturalnego w roku przyszłym.

W tych dzielnicach straszy starzyzna. W nowych domach ryczy namiętnie na ścianie stęskniony jeleń do jelenicy, a w nocy trzeszczą ciężkie i drogie meble na wysoki połysk. Nie wpuszczono tu łódzkiego plastyka. Piękne dzielnice nie posiadają ani jednego salonu, gdzieby można zobaczyć współczesne urządzenie mieszkania. Ech, stary roku, aleś nabroił z pomocą naszych łódzkich planistów. No więc za lepszą przyszłość. Gorzalina łyku, łyku dobrze idzie po języku.

Tak więc nasza polityka inwestycyjna żyje z polityką kulturalną w zupełnej separacji. A przecież rozwód bardzo tu byłby niewskazany, urodzi nowe nonsensy, podczas gdy starych nie brak. Można sobie przy dużej fantazji wyobrazić, że jakąś knajpę zamieni się na świetlicę czy klub, chociaż zazwyczaj bywało u nas odwrotnie. Ale co zrobić z Teatrem Narodowym? Drogi nasz czytelniku, obejrzyj sobie w czasie świąt to gmaszysko, na placu Dąbrowskiego. Powiadasz, że niebo przeminie i ziemia przeminie, a on — furt będzie się budował. Niestety, stanie się jeszcze większe nieszczęście, teatr zostanie zbudowany. Po drodze połknie 90 procent pięcioletniego budżetu Wydziału Kultury MRN, a potem, już po uroczystym otwarciu, zjadał będzie regularnie ciężkie miliony. Bo to jest budynek w założeniu deficytowy. Jak można coś podobnego budować? Zapytaj się mewy lecącej na niebie. My tego nie wiemy, wy tego nie wiecie i oni tego nie wiedzą, rzecz dana obiektywnie, poza ludzką wolą. Teatru rozebrać nie sposób, sprzedać cegły po cenach wolnorynkowych nie można, trzeba więc — to takie osobiste zdanie — ulokować tam zespół Teatru Nowego, który obchodził w tym roku swoje dziesięciolecie. To będzie największy sens w tym nonsensie.

Kończymy rok w nadziei, że w przyszłym nie przyjdzie nam do głowy budowa kolejki podziemnej, albo pałacu kultury, a poprzestaniemy na szkołach dla ludzi pracy, na klubach i świetlicach w nowo powstałych dzielnicach miasta.

Łyktus Benedyktus! Ut nobis! Oby nam się!

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

Legenda z ziemi łódzkiej

Opracował wg. Kolberga J. Nowicki, rys. S. Grotkowski.

We wsi Łagiewniki o milę od Wielunia pewna młoda i niezwykle piękna dziewczyna urodziła nieślubne dziecie...

—2—

Nie było to miasto prawdziwe, ale szatańska ułuda. Ongiś, tu gdzie jest las okalewski, istniało miasto rozpustne, które w ziemię się zapadło.

—9—

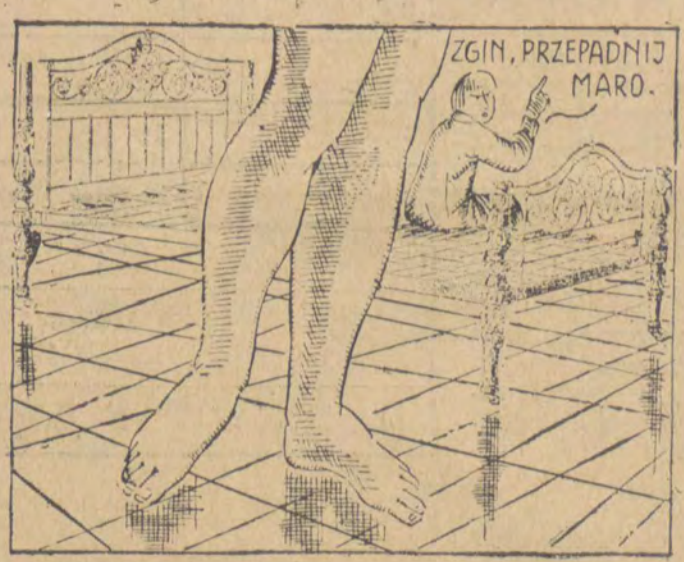

Ludzie i technika szpiegostwa

Zawrotna kariera Herr Dr Stiebera

Nowożytne wywiady stałe zaczęto organizować w państwach europejskich dopiero w połowie XIX wieku. Do tego czasu, z wyjątkiem Francji, brak było stałej służby wywiadowczej. Dla doraźnych celów wysyłano agentów, którzy mieli do spełnienia konkretne zadania. O wielkich siatkach szpiegowskich oplątujących państwo potencjalnego przeciwnika nie było mowy.

PROWOKATOR NA POCZĄTEK

W chwili, gdy przez Europę przechodziła burzliwa fala Wiosny Ludów, dr Wilhelm Stieber — wierny poddany króla pruskiego, miał lat trzydzieści. Próbował szczęścia w szatach duchownego, lecz rychło tę karierę porzucił. Przypadek zrządził, że związał się nieco z kołami postępowymi w Berlinie, znał przywódców ówczesnej lewicy demokratycznej. Znajomość tę wykorzystał, by stać się prowokatorem. Za usługi w wydaniu przywódców ruchu rewolucyjnego w Berlinie otrzymał stanowisko „Polizeiratha". Na tej funkcji przystąpił z polecenia Fryderyka Wilhelma IV, do tworzenia regularnej, tajnej policji politycznej, której ostrze wymierzono wyraźnie przeciw wszelkim ruchom postępowym. Sekcja policyjna dr Stiebera była więc pierwszą w historii policją polityczną zwalczającą ruch robotniczy.

Ale jej twórcy, arcywiernemu monarchii doktorowi praw, kariera policjanta nie wystarczała. Nasyciwszy się władzą, przystąpił do „wyższego" etapu działalności.

Prusy, a konkretnie Bismarck przygotowywał wówczas wojnę z Austrią. Mniejsza o historyczne tło tej wojny, która stała się fundamentem potęgi późniejszego cesarstwa niemieckiego. W każdym razie Bismarck postanowił zdobyć informacje o wojskowości austriackiej. Najwłaściwszą osobą, powołaną do tego celu wydawał mu się dr Stieber. Rozmowa między nimi odbyła się w 1864 r., a dygnitarz policyjny uznał, że nikt lepiej nie wykona odpowiedzialnego zadania, jak... on sam.

WYJĄTKOWE ZADANIE

Trzeba przyznać, że jak na prowokatora-policjanta dr Wilhelm Stieber dysponował nie byle jaką odwagą. Rzadko się bowiem zdarzało dotąd, że szef policji podejmował osobiście tak ważkie zadanie szpiegowskie. Ale, stało się. Wyruszył na dwa lata.

W różnych przebraniach, najczęściej wędrownego handlarza penetrował teren przyszłego ataku. Na własnych nogach przewędrował całe Czechy, zdobywając pełny obraz informacji o przeciwniku. Z pruską pedanterią przedstawił późniejszy twórca niemieckiego wywiadu dyslokację wojsk, ich siłę, rozmieszczenie fortyfikacji, ich charakter, źródła zaopatrzenia, szczegóły o uzbrojeniu, nazwiska dowódców i tak dalej. Właściwie można zaryzykować twierdzenie, że po powrocie swego agenta, rząd Bismarcka wiedział wszystko, co było mu potrzebne do przeprowadzenia kampanii i błyskawicznego rozgromienia Austrii.

Tak się też stało. Najciekawsze zaś to, że po wkroczeniu na teren nieprzyjacielski potwierdziła się każda, nawet najdrobniejsza wiadomość dostarczona przez dr Stiebera. Wypadek w historii szpiegostwa dość rzadki, uzależniony jednak nie tylko od talentu wywiadowcy — lecz przede wszystkim również od słabego maskowania się przeciwnika. Być może zresztą, że dowództwo wojsk austriackich nie doceniało tajemnicy rozmieszczenia jednostek, ich zaopatrzenia czy nazwisk dowódców oraz ich stopni. Tymczasem dla dowództwa wrogiego taka informacja bywa niezmiernie ważna.

SOWITA ZAPŁATA

W dziejach kariery dr Stiebera jest jeszcze jedna rzecz wyjątkowa. Za swoje zasługi szpiegowskie został... ministrem policji, o czym od dawna marzył. Kierownicy wywiadu nie jeden raz dochodzili rangi ministrów i szefów rządów.

Wracając do dr Stiebera, trzeba powiedzieć, że zabrał się on z wielkim zapałem do dzieła. Jego siatka szpiegowska oplątała przede wszystkim Francję, obiekt przyszłego ataku Prus. Z „Zielonego Domu („Grüne Haus") kierował potężną, nawet na dzisiejsze warunki, armią 12.000 szpiegów, posiadając na jej utrzymanie ogromne kwoty pieniężne.

METODYKA

Właściwie można by powiedzieć, że nędzny prowokator policyjny, szpieg, policjant i minister policji w jednej osobie, wytyczył przy tym nowe kierunki pracy wywiadu. Korzystając z osobistych doświadczeń w czasie wykonywania swego zadania w Austrii, zaprowadził w swoich biurach drobiazgowo dokładne badania o charakterze naukowym. Uczynił z wywiadu coś więcej, niż wydarcie jednej lub więcej informacji. Był pierwszym, który prowadził wywiad zwany na Zachodzie „totalnym", a więc obejmującym całokształt spraw danego kraju.

W archiwach „Zielonego Domu" można było znaleźć opracowania statystyczne, demograficzne, gospodarcze, polityczne, rejestrował każdą zmianę w potencjale militarnym państw znajdujących się w sferze zainteresowania Prus. Mało tego: stworzył dokładną kartotekę zawierającą dane biograficzne (do najdrobniejszych szczegółów) wszystkich mężów stanu, dyplomatów, przywódców partii, wyższych oficerów, w państwach, które interesowały Prusy a potem Cesarstwo Niemieckie.

Minister dr Stieber wychodził z założenia, że nikt nie może przewidzieć, jakiego rodzaju informacja będzie dla celów polityki zagranicznej czy prowadzenia wojny potrzebna. Dlatego trzeba zbierać informacje o wszystkim.

SPADKOBIERCY „ZIELONEGO DOMU"

Trzeba przyznać, że spadkobiercy dr Stiebera, a więc jego wieloletni współpracownik von Kaltenbach, który stanął po śmierci Herr Doktora w 1892 roku na czele tego urzędu, stosowali niezmiennie metody ojca wywiadu niemieckiego, aż do czasów hitleryzmu włącznie. Admirał Canaris, uczeń von Kaltenbacha, również interesował się biografiami osobistości wszystkich krajów europejskich. Hitler nie jeden raz czynił użytek z jego informacji. Nie jeden raz szantaż — groźba ujawnienia informacji uwłaczającej mężowi stanu w obcym państwie, oddawała go na służbę hitleryzmu.

Pisząc o tym trzeba zwrócić uwagę, że dopiero Hitler zmienił zasadę działania wywiadu; dorzucił mianowicie do jego zadań czynną dywersję, sabotaż, zamachy na życie niewygodnych ludzi — nawet w czasie pokoju. Hitler przypisywał bowiem wywiadowi większe możliwości niż miał on w istocie. Ufał, że posiadając odpowiednia siatkę wywiadowczą, można z przeciwnikiem dokonać wszystkiego. Praktyka ubiegłej wojny wykazała — że tak nie było. Chociaż dywersja, szpiegostwo i sabotaż rozwijały się w III Rzeszy kilkoma kanałami, z których główne zamykały się w Abwehrze (Canaris) i RSHA (Himmler), jednak mimo wszystko kontrwywiad radziecki czy angielski i amerykański potrafił sparaliżować działanie hitlerowskich agentów.

JERZY DAGOBERT.

JERZY WILMAŃSKI

Rzecz o TBC

OSTRZEŻENIE WSTĘPNE

Wszystkim, którzy w artykule tym spodziewają się sensacyjek, pikantnych anegdotek o erotyzmie gruźlików, psim smalcu i cudownych ozdrowieniach radzę tego felietonu nie czytać. Gruźlica bowiem jakkolwiek nie jest u nas (jak sądzą niektórzy) klęską społeczną zasługuje przecież na poważne traktowanie, zwłaszcza że wokół tej choroby powstało mnóstwo nieporozumień.

CZY WZROST ZACHOROWAŃ?

Zjawisko jest dość niecodzienne. Według statystyk nie obserwujemy raczej wzrostu zachorowań na gruźlicę. Natomiast szpitale i sanatoria są permanentnie przeładowane. Na miejsce w szpitalu czeka się nieraz tygodniami, na miejsce w sanatorium — miesiącami. Wszystko wskazuje na to, że obecna liczba zakładów zamkniętych nie wystarcza. Dlaczego?

Otóż, dawniej, jak wiadomo, gruźlica zwyciężała organizm ludzki w przeciągu kilku miesięcy. Nie znano antybiotyków, nie stosowano metod chirurgicznych w cięższych przypadkach, i w ogóle wiedza o samej chorobie nie stała na najwyższym poziomie.

A dziś? Prawie każdy człowiek ma poza sobą kilkadziesiąt gramów antybiotyków (streptomycyna, auromycyna, cykloseryna itp.). Drogie leki przeciwgruźlicze (PAS, Napashin, hydrazyd) otrzymuje w ilościach nieograniczonych, całkowicie bezpłatnie.

Efekt? Chory na gruźlicę z powodzeniem dożyć może późnej starości. Wymaga to oczywiście ciągłej opieki lekarza, wypoczynków sanatoryjnych, krótszych lub dłuższych „kwarantann" szpitalnych. To jest właśnie główna przyczyna faktu, że przeciwgruźlicze zakłady zamknięte nie zawsze mogą pomieścić zgłaszających się pacjentów.

A więc tak dzięki zdobyczom medycyny jak i dzięki zdobyczom socjalnym przedłużono (jakże wydatnie) długość życia człowieka.

W takiej sytuacji nie wolno zatrzymywać się w pół drogi. Budowa nowych zakładów zamkniętych (głównie sanatoriów), choć to sprawa na pewno mniej efektowna od akcji „tysiąca szkół", jest nie mniej jednak równie poważna.

NIE ROZMAWIAJ Z NIM BO SIĘ ZARAZISZ...

Pozwolę sobie przytoczyć pewną historię. Otóż zdarzyło się, iż spotkało się po dłuższym niewidzeniu dwu znajomych. Na żartobliwe jednego z nich: „Gdzie to cię nosiło?" Padła równie pół serio odpowiedź: „Przymknęli mnie".

Potem już w kawiarni, dokąd starym zwyczajem poszli na pogawędkę, ten pierwszy zapytał z filuternym przymrużeniem oka: „No, powiesz, za co cię wsadzili?"

I wtedy padła odpowiedź: „Żartowałem, byłem w sanatorium".

Znajomy przypomniał sobie jakąś piekielnie ważną sprawę i począł się żegnać.

* * *

To są rzeczy znane. W przeciętnym człowieku słowo „gruźlica" wywołuje strach i odrazę. Przyczyn tego powszechnego raczej zjawiska szukać należałoby w czasach chyba dość zamierzchłych.

Gruźlica była chorobą istotnie straszną. Kiedy nie znano promieni Roentgena dopiero krwotok sygnalizował tę potworną, bezbolesną chorobę. Ale wtedy często bywało już za późno.

Tak więc owa „fobia" — lęk przed gruźlicą — powstała w ludziach na skutek całkowitej bezbronności wobec zjawiska. Wiadomo bowiem, jak boimy się zjawisk, o których nie wiemy nic ponadto, że istnieją.

No dobrze, ale teraz? Teraz, kiedy wiemy, że możliwość zarażenia się gruźlicą jest praktycznie kilkakrotnie mniejsza niż możliwość zarażenia się takimi chorobami jak np. tyfus, dur brzuszny czy choćby żółtaczka zakaźna?

Uwaga na marginesie: Jako argument za niewspółmiernie dużą zjadliwością prątków gruźlicy podaje się często fakt, iż z reguły lekarze ftyzjatrzy (specjaliści gruźlicy) sami są tą chorobą dotknięci. Problem sprowadza się tu po prostu do odwrócenia zjawiska. Dr X. czy Y. nie dlatego choruje na gruźlicę, że jest ftyzjatrą, ale dlatego, że już przedtem (studia, szkoła, dom) z chorobą miał kontakt — i dlatego wybrał tę gałąź medycyny.

W obecnym systemie szeroko rozbudowanej sieci przychodni przeciwgruźliczych, w systemie masowych badań, w obliczu szeroko stosowanych antybiotyków — człowiek wyrzucający z siebie chmary prątków Kocha jest zjawiskiem tak rzadkim jak zaćmienie słońca.

Uwaga na marginesie: Dla pocieszenia można dodać, że podobnie anachroniczny i zabobonny stosunek do gruźlicy obserwujemy również w takich np. Stanach Zjednoczonych. Korespondent „Odgłosów" Marek Konopka pisze: „W USA — kraju kulturalnym pono gruźlica jest uważana za coś okropnego (...) i zostawia stygmat gorszy chyba od trądu — uprzedzenie głupie, a głupich uprzedzeń tu wcale nie brak".

„ZDROWA" BEZTROSKA

Spotkałem niedawno znajomego. Miało to miejsce na maleńkiej stacyjce, daleko za Łodzią. Znajomy był w towarzystwie. Ponieważ wiem, iż młodzian ten choruje na gruźlicę, zapytałem go czy dostał już skierowanie do sanatorium.

Wymówki, jakie usłyszałem, gdy zostaliśmy sami, nie nadają się niestety do powtórzenia. Sprowadzały się wszakże do tego, że „jak mogłem wobec jego znajomych mówić o sanatorium, że teraz nikt mu ręki nie poda" itp.

Kiedy jednak zapytałem młodziana jak dawno był ostatni raz u kontroli lekarskiej dowiedziałem się, że... 7 miesięcy temu.

Tego typu pacjentów poradnie przeciwgruźlicze mają sporo. Przyczyna takiej postawy jest prosta i psycholo-

(Dokończenie na str. 12)

Uwaga czytelnicy!

Następny 1 (styczniowy) numer „Odgłosów" ukaże się dn. 5 stycznia 1960 r.

I KONKURS: CZY ZNASZ PRASĘ ŁODZKĄ?

Drukujemy poniżej 12 WINIETEK — 12 tytułów stałych rubryk, zamieszczanych przez pięć łódzkich pism: „Głos Robotniczy", „Dziennik Łódzki", „Express Ilustrowany", „Karuzelę" i ...oczywiście „Odgłosy". Łodzianom, stałym czytelnikom miejscowej prasy — nie sprawi chyba wiele trudu odgadnięcie, z jakich pism pochodzą reprodukowane winietki. Oto całe zadanie naszego kolejnego konkursu świątecznego.

Na załączonym kuponie, obok kolejnego numeru winietki — wpisujemy nazwy odpowiednich pism, z których poszczególne winietki pochodzą. Proste, prawda? Nazwy pism można podawać w skrócie, np. „EXP.", „GŁOS", „ODGL.", „DZIEN.", „KAR."..

Termin nadsyłania kuponów — 5 stycznia 1960. Wśród autorów prawidłowych odpowiedzi zostanie rozlosowana nagroda,

BIBLIOTECZKA Z 10 KSIĄŻEK

UWAGA: W KAŻDYM KONKURSIE SĄ DO WYGRANIA INNE KSIĄŻKI! KAŻDY CZYTELNIK „ODGŁOSÓW" MOŻE BRAĆ UDZIAŁ W KILKU KONKURSACH, CO ZWIĘKSZA SZANSE ZDOBYCIA NAGRODY LUB NAGRÓD. KUPONY RÓŻNYCH NASZYCH KONKURSÓW MOŻNA NADSYŁAĆ W JEDNEJ KOPERCIE!

CZY ZNASZ PRASĘ ŁODZKĄ?

1	7
2	8
3	9
4	10
5	11
6	12

(Imię i nazwisko)

(Adres)

KONRAD FREJDLICH

„BIELMO"

Fot. EUGENIUSZ KUDAJ

Milicjanci wprowadzili go bocznymi drzwiami. Szedł niepewnie. Spojrzał na jasną plamę okna i przygarbił się. Takim zobaczyła go publiczność — małego, skurczonego — na brązowej, błyszczącej ławie oskarżonych.

Sąd wszedł nagle. Publiczność podniosła się ociężale, a kiedy usiadła, toga obrońcy zasłoniła oskarżonego. Nikt nie zwrócił na to uwagi, czytano akt oskarżenia.

„...ona pracowała po południu, a on na noc. Jak żona poszła do pracy, to odpiłował trzonek siekiery. Część żelazną schował pod szafą, a drewno wyrzucił na sąsiednie podwórko. Była szósta po południu, ale tak to robił, żeby nikt nie widział. Dzieci też nie widziały, Tereska — ośmioletnia, bo ona tylko mogłaby zrozumieć. Młodsza córka ma półtora roku.

Wieczorem położył dzieci do łóżka, zamknął okiennice, poszedł do pracy w Zakładach im. Wł. Bytomskiej. Pracował z kolegą, a gdy skończyli robotę koło północy, powiedział, że idzie się przespać. Chwilowo innej pracy nie było, mieli go w razie czego zbudzić. Widzieli jak szedł spać, ale on założył marynarkę i zaraz uciekł ze „snowalni". Przeszedł przez płot od strony ul. Wodnej, było ciemno, nikt go nie widział. Doszedł do Zamenhofa, uważał na sąsiadów w sieni w drewniaku, na podwórku, bo tam beton i wszystko słychać, a potem w oficynie, żeby dozorca się czego nie domyślił. W korytarzu otworzył drzwi, (wszędzie było ciemno), wszedł do mieszkania. Żona spała, dzieci razem z nią na łóżku. Sięgnął pod szafę i jak tylko namacał żelazo, to sobie zaraz dobrze wszystko przypomniał. Szpary w okiennicy przepuszczały trochę światła, zobaczył dzieci i głowę żony. Spała na boku. Wtedy uderzył. Jak tylko poczuł krew, to mu się zrobiło niedobrze, ale rąbnął drugi raz. Starsza córka się przebudziła, nie poznała go. Zamknął drzwi, wyrzucił siekierę na dach domu (róg Wólczańskiej) i zaraz złapał taksówkę. Wrócił do fabryki przez płot, szukali go, powiedział, że spał. Dali mu robotę, pracował spokojnie i pewnie. Jak wracał o piątej z pracy, spotkał sąsiadkę u rzeźnika. Przeszedł podwórko, zobaczył, że okiennice są jeszcze zamknięte. Otworzył drzwi do mieszkania. Żona jęczała, ruszała prawą nogą. Tereska obudziła się, usiadła w nocnej koszuli koło szafy. Wtedy zaczął krzyczeć, że ktoś zamordował żonę. Sąsiedzi zlecieli się, widzieli, że płakał..."

Teraz płakał w sądzie. Zawołano go, żeby podszedł rozpoznać siekierę. Wstał, można go było zobaczyć znowu. Pociągła twarz, posklejane potem, jasne włosy.

— Tak było. Tak zrobiłem.

Powtórzył to samo, co przy drugim przesłuchaniu, bo wtedy uplanował powiedzieć wszystko. Stał jeszcze chwilę, a kiedy pozwolili mu usiąść, skrył się znowu za plecami obrońcy. Nie drgnął, kiedy na salę weszli gęsiego świadkowie. Tylko żonie przyglądał się chwilę.

2.

Gdy już nic nie pomogło, postanowił żonę oszpecić, choć szkoda mu było tylu lat przeżytych wspólnie, dzieci szkoda. Ale to już nie była ta sama kobieta, co w pięćdziesiątym pierwszym, drugim, jak przychodziła pod koszary i jak wtedy wzięli ślub. Mieszkanie mieli urządzone na poziomie, stół na środku, po bokach przy ścianie krzesła dodatkowo, toaletka rzucała się w oczy. Szafa stała odsunięta od ściany, za kretonową zasłonką mieścił się schowek na różne rzeczy. Ostatnio kupili tapczan, podobno Bolek go wybierał. Było dobrze, urodziło się starsze dziecko, Teresa, w parę lat potem maleństwo. „Lokatory zgodne, można było żyć". Czasem chodziło się do kogoś, ale jak ludzie do ludzi, nie żeby zaraz pijaństwo czy orgie.

Co roku jeździli do Dziwów, bo tam mieszkają rodzice. W tym roku pojechał tylko Marciniak z dziećmi, żona robiła komuś sweter, miała przyjechać potem. Nie przyjechała, choć dzieci bardzo kochała, bo przecież i tak je potem mogła zobaczyć. Marciniak wrócił cztery dni wcześniej, żona przyjęła go chłodno. Lokatory szeptali to i owo. Żona była opalona, powiedziała, że lekarz jej kazał tak na te stawy. Trzeba było wierzyć. Pewności nikt nie może mieć, choć lokatory widzieli. Ona podobno „letko puszczała się z Bolkiem". To dozorca widział Bolka obok niej na tapczanie w jasnych spodniach. Coś mu prała, to znowuż widzieli, jak otwierał sobie drzwi do mieszkania Marciniaka. Zresztą tapczan był wygodny, razem wybierali.

Bolek nie miał co ukrywać, że miał z tamtą fuchę. Bo też i kombinowali ze sobą od czerwca, zaraz jak się sprowadził do Ziutki do drewniaka. Przedtem mieszkał u Rybki, na innej ulicy, ale gospodyni nie chciała go już trzymać, bo ciągle się upijał. Rybka została, a on się wyprowadził. Poznał żonę Marciniaka na schodach Zośki, potem do Zośki razem chodzili, bo ona wdowa i mieszkanie prowadzi po kawalersku.

Gdy Marciniak pojechał na urlop, razem chodzili do lasu. Jak tamten wrócił z urlopu, nie było już tak łatwo się spotykać. Trzeba było czekać, aż Marciniak pójdzie do pracy, a i to nie okazało się bezpieczne, bo całe podwórko patrzyło.

Zadzwonili kiedyś do Marciniaka, zwolnił się u majstra, przyleciał. Bolek z Zośką jak raz pili u niego w mieszkaniu. Bolka i tamtą wyprosił, a żonie powiedział, że sobie też przyszedł wypić. Potem usłyszał, że Bolek wołał na żonę, na Mirkę, żeby wyszła. Powiedział wtedy: „Nie pójdziesz". Mirka się szarpnęła, wyrwała się, była silniejsza od niego. Sąsiadka akurat rąbała drzewo, wyrwała jej siekierę, zamachnęła się, ale ostrze tylko się lekko ześliznęło po głowie Marciniaka. Lokatorzy dopadli, obezwładnili ją w trójkę. Jak się już chłop przekonał, to prosił Bolka, żeby nie burzył małżeństwa.

Akurat przyszła niedziela, Mirka powiedziała: „Idź do kościoła, wyspowiadaj się, ja potem przyjdę i zaczniemy żyć na nowo". Żona do kościoła nie przyszła. Lokatorzy zaraz powiedzieli, że pojechała na Chełmy z Bolkiem, była tam też Zośka z Ziutkiem. Bolek z Ziutkiem szli kupić wino do kiosku, zobaczyli męża Mirki jak tam chodził. Zośka wtedy powiedziała: „Bój się Boga, chłop cię szukał". Mirka się śmiała, że Bolek jest gość przystojny, ma pieniądze a mąż nie ma pieniędzy.

Mąż jej zaczął pieniądze wydzielać, co dzień na życie, bo przepijała z Bolkiem. Marciniak parę razy też wypił z Bolkiem, żeby przerwał ten flirt. W końcu sierpnia zrobili składkową zabawę u Ziutka w domu. Kolejarz przyniósł radio. Bolek tańczył z Mirką. Rybka była, zaczęła się złościć, że ją Bolek zdradza. Marciniak też się rozzłościł, zaczął tłuc talerze. Wszyscy go musieli uciszać.

W parę dni potem Marciniak gonił żonę z siekierką po ulicy. Mirka zatrzymała taksówkę, pojechała razem z mężem na komisariat. Tam go zostawiła, sama wróciła do domu.

Mąż zaczął jej wydzielać pieniądze, poszła do pracy w „Optimie". Marciniak robił na noc, to ona po południu i z Bolkiem się mogła spotykać co dzień. Wódkę u Zośki albo u Bolka pili co dzień, jak tylko były pieniądze.

Na początku września parę osób siedziało na schodkach na podwórku, jako że było ciepło. Szedł Bolek z Januszkiem, który od paru dni był na mieszkaniu u Zośki. Mieli pół litra, zaprosili tamtych na górę. Ziutek był wtedy u Zośki. Potem pewien lokator dał jeszcze na pół litra, przyszła Bolka żonka, Rybka, i zrobiła awanturę. Powiedziała, że Mirce pokaże i obije jej mordę. Na podwórku wszyscy już o Mirce wiedzieli, bo się nie kryła, a Tereska widziała, jak Bolek przyszedł i mordował mamę na tapczanie. Bolek Rybkę uciszał, ale o tej porze akurat wracała z roboty Mirka, którą przezwali „Kawka". Ziutek poszedł po „Kawkę" z butelką wina, wypili je w mieszkaniu Marciniaka, potem wyszli. Tereską uchyliła okiennice, widziała jak matka idzie po schodach na górę do Zosi. Potem wróciła. W nocy coś trzasnęło dwa razy. Teresa leżała cicho, bała się i usnęła. Potem rano ojciec otworzył drzwi, krzyczał. Teresa się obudziła, zobaczyła, że mamusia leży na łóżku i ma całą buzię we krwi...

3.

Odszukałem 3 dom na Zamenhofa pod nr 18. Przeszedłem korytarzyk w drewniaku, cicho było i spokojnie, niedziela. Tylko na podwórku jakaś matka krzyczała na dziecko.

— Ja w sprawie Marciniaka — powiedziałem.

U dozorcy Brzozowskiego zeszło się z pół kamienicy, usiadłem wśród nich. Ludzie prości, surowi w sądach. Trzeba było jeszcze raz wszystko rozważyć po wyroku Sądu Wojewódzkiego, który Marciniaka skazał na dwa i pół roku. Szkoda chłopa, że mu tak marnie przyszło, ale i jego wina, że całe życie był nieśmiały. Nie potrafił baby krótko trzymać, choć po prawdzie ona od niego była silniejsza.

Przeczytałem w gazecie codziennej: „bagno". Siedziałem teraz w tym domu, w tym bagnie, wśród lokatorów zgodnych którzy dla Tadka chcieli dobrze. Dziwny to dom, ale przecież nie bagno, chyba raczej bielmo, chyba nieświadomość. Oskarżony skończył trzy klasy, jego żona niewiele więcej. Bolek i Ziutek niby do szkoły kiedyś chodzili, ale... Zośka skończyła tyle co Marciniak, trzy klasy. Więc chyba „bagno" to jest dla nas, dla ludzi, normalnych, dwudziestowiecznych. A sytuacja w domu na Zamenhofa dla tamtych ludzi była czymś normalnym, była życiem codziennym.

I tak wyglądało życie w kręgu betonowego podwórka zamkniętego oficynami z lewej i prawej, parterowym budyneczkiem ze strychem i drewniakiem od frontu. Na tych kilkudziesięciu metrach spotykali się codziennie, wiedzieli o sobie wszystko, cały dom. Kto mieszkał na parterze, to widział innych na parterze, a kto na piętrze, wszystkich na piętrze i jeszcze tych na parterze.

Prawie wszyscy pracowali, nawet Zośka, tylko Bolek i Ziutek nie. Bolek odnawiał szafy za ćwiartkę, Ziutek podobno kiedyś komuś zreperował buty, a przeważnie utrzymywali go „kumple".

Nie było więzi w tym domu, choć się tam prawie nie kłócili, chyba dopiero Marciniak z Bolkiem. Spotykali się po sąsiedzku starsi, pięćdziesięcioletni i pokolenie Bolka, Ziutka, Marciniaka, „Kawki" — rocznik trzydziesty. Te dwa pokolenia zgadzały się z sobą. Pili wódkę, robili składkowe zabawy po sąsiedzku. Pokolenie w rzeczywistości stanowili jedno — pokolenie analfabetów. Jedni nie mogli się uczyć, nie było środków, innym przeszkodziła wojna, jeszcze inni uczyć się nie chcieli, bo handelek, „kumple", morgi na wsi i jakoś się tam żyło. Zjawisko to w Łodzi nie odosobnione, powojenna migracja sprowadziła do tego miasta dużo takich ludzi, którzy żyją, którzy pracują, wychowują dzieci. Ich dzieci są już inne, rocznik czterdziesty, trzydziesty piąty, i coraz częściej nie potrafią zrozumieć swoich rodziców. Są czymś odrębnym w starych, czynszowych kamienicach, ludźmi z innego świata niemal.

W długiej kolumnie świadków, którzy w ciągu trzech dni przewinęli się przed sądem, można było to dobrze zauważyć. Inny już jest syn kolejarza, który wtedy na potańcówkę przynosił radio, inni są też kuzyni Marciniaka.

Tadeusz Marciniak chłop spokojny, pracowity, katolik. Pracował uczciwie, dom wyposażał, przyozdabiał jak umiał. Powiesił trzy święte obrazy, kupił gipsowe psy i postawił je na szafie, na kredensie, barana z gipsu umieścił w szklanej gablotce. Najpierw nie mógł uwierzyć, że żona do innego chodzi, bo on sam tak by nie potrafił. On sam się czuł jeszcze niepewnie w tym wielkim mieście, choć od siedmiu lat już tu mieszkał. Lokatorzy mu doradzali to i owo, nie wiedział, co robić. Stawiał Bolkowi, żeby sprawę po dobroci załatwić. Jak się nie dało, jak zobaczył, że dzieci po podwórku chodzą głodne, powiedział sobie — dosyć! I wtedy rąbnął siekierą dwa razy. Rąbał nie tylko żonę, rąbał swoją wiarę w pomoc sąsiadów, którzy mu tylko doradzali, a nikt nie pomógł naprawdę, rąbał na zimno, z wyrachowaniem, chciał to wszystko unicestwić, zniszczyć, a siebie upodlić.

Ale ostrze siekiery trafiło głębiej, głębiej niż w żywe, gorące ciało „Kawki", głębiej niż w Marciniaka wiarę w pomoc sąsiadów, w nich wszystkich, którzy przesiadywali wieczorami na schodkach na podwórku, albo szli na ćwiartkę. Tym aktem rozpaczy rąbnął Marciniak w inne łódzkie podwórka, gdzie żyją Bolki, Zośki, Ziutki, „Kawki" i Rybki. Ostrze Marciniaka nie zabiło, ale utkwiło głęboko. Marciniak porąbał swoją wiarę, nie na próżno. Jednego tylko nie mógł naruszyć — wiary w pokolenie najmłodszych, w rocznik trzydziesty piąty, rocznik czterdziesty.

Latem na tych schodach spotyka się cała „kamienica"

Dom przy ul. Zamenhofa, który był świadkiem tragedii.

ANEGDOTY sprzed wieku

Anegdoty poniższe pochodzą z pamiętnika Stanisława Morawskiego (wznowił go w części ostatnio PIW: Kilka lat młodości mojej w Wilnie, Warszawa 1959). Autor żyjący w l. 1802—53, współczesny Mickiewiczowi i towarzysz filomacki jego studiów na Uniwersytecie Wileńskim, „karmazynowy szlachcic" z woli ojca wykształcił się na lekarza. Rozmaicie było z jego praktyką, spędziwszy wszakże młodość w najświetniejszych — jak się wtedy powiadało — towarzystwach Wilna i Petersburga, wiek męski zamknął, powodowany jakimś rozgoryczeniem do świata, czternastoletnim odosobnieniem w rodzinnym dworze.

W tym czasie powstały jego świetne, po mistrzowsku kreślone wspomnienia, gęsto przetykane anegdotą obrazy minionych lat, doskonale oddające ich niepowtarzalny klimat. Czytelnikom tych kilku fragmentów życzymy: dobrej zabawy; zachęconym: lektury książki, która na pewno nie znuży barwnymi opowieściami o sławnym awanturniku generale Chackiewiczu, ongiś towarzyszu Jakuba Jasińskiego i osobliwym uczestniku epopei napoleońskiej, o zabawnych przygodach różnych znakomitości, romansowych przygodach sławnych dam; a i posilniejszego „obroku duchownego" starczy.

Romantyzm profesorów

Znajomy dosyć jest z pism prawniczych niejaki pan Kurowicki, były profesor w Uniwersytecie Wileńskim. Człowiek dobry, uczony, niegłupi nawet, ale wielce osobliwszego komicznego układu. Ten kiedyś gdzieś na wakacji poznał się był i zakochał w pannie Łopacińskiej, osobie z dosyć znakomitego rodu na Litwie. Wiedział on to, że panny dobrowolnie za niego nie wydadzą. Że jednak dziwnym cudem, snadź z powodu zupełnego braku mężczyzn w tym okręgu, i panna potrafiła się w nim wzajemnie zakochać, wykraść ją zatem postanowił nasz profesor i notabene profesor jurysprudencji.

Ale to był wielki roztrzepaniec, a większy jeszcze daleko skąpiec. Zamiast tedy rozstawić konie albo wziąć pocztę, dla większej oszczędności najął sobie budę żydowską i w niej na tak drażliwą wyprawę się puścił. Udało się. Panna z ochotą wykraść się dała. Nim się to jednak udało, przeszło kilka dni czasu. Tak że kiedy już Kurowicki jął ze skarbem swym uciekać, o trzy mile od domu rodziców panny szabas Żyda zaskoczył. Trzeba się było zatrzymać!

A tymczasem ojciec z domowymi swoimi, dopędziwszy uczonego naszego, córkę odebrał, a jemu w sepet całe sto odliczył.

Nauka i dziś twierdzi to samo

Pułkownik Rozen, urzędnik pocztowy w Wilnie, bardzo nieładny i ślepy na jedno oko, a wielce Bóg wie czego dumny człowiek, zakochał był się namiętnie i ożenił się natychmiast z osobą, do której jak wieść niosła, profesor Bojanus smalił cholewki i bodaj że tam coś więcej nad wzajemność zaszczepił. Rozen się tego ani domyślał.

W siedem miesięcy po ślubie rodzi mu żona prześliczne i bujne dziecko. Rozen widzi, że nie w porę. Trwoży się o dziecię, że żyć nie będzie! Że nie donoszone biedactwo! Niespokojny lata po całym mieście, a pyta się i radzi to tej, to owej. Wszystkie sproszone kwoki obejrzawszy dziecię powiadają, że jest dobrze ukształcone, że mu ani jednego nie braknie paznokcia. Nie ma się o co lękać. Będzie żyło!

Rozen nie wierzy. Pyta się więc jeszcze profesora akuszerii Mikołaja Mianowskiego, sławnego z judaszowego i kociego dowcipu. Ten wiedząc, co o tym myślić, powiada serio Rozenowi: „Bądź pan spokojny. U kobiet w pierwszym połogu po ślubie to się często zdarza. Ale dalej ręczę, że tego nie będzie!"

Rozen do tego stopnia był zaślepiony, że się nie domyślił niczego. Owszem, na paradnych chrzcinach u siebie, głośno, publicznie przed wszystkimi gościami słowa Mianowskiego powtórzył.

Jak w „Karze" Żeromskiego

Kiedyś majętny, światły i bardzo wysoko ukształcony człowiek, obywatel ze Żmudzi, baron Rönno, mając interesy w Mińsku, jadąc tam przez Wilno spotkał się na ulicy z powszechnym całego świata przyjacielem i znajomym — „Lojolą" Czarnowskim.

„Co słychać? Czy na długo tu przyjechałeś? Skąd i dokąd bogowie prowadzą? I tym podobne praeliminaria skończyły się na tym, że Rönno zaproponował Czarnowskiemu, który nigdy jeszcze w Mińsku nie bywał, zabrać go z sobą dla towarzystwa. Pojechali. Dojechali. Zatrzymali się przed najpierwszą w Mińsku oberżą Treisa. Treis dawał ciągle reduty i maskarady. Cała oberża była zajęta oprócz pokoiku z przedpokojem, którego Treis przez uszanowanie i sumienie nająć takiemu jak Rönno gościowi nie chciał, dlatego że łączył się zamkniętymi wprawdzie na głucho drzwiami z główną salą redutową i że właśnie tegoż wieczora miała być reduta. „Jaśnie wielmożny pan, podróżny i zmęczony, oka całą noc nie zamkniesz od hałasu i huku muzyki naszej."

Rönno, nie chcąc włóczyć się i szukać innego mieszkania po mieście, pomimo te uwagi wziął ten numer. Zmęczeni drogą położyli się natychmiast obadwa z „Lojolą" do łóżek. Łóżko Czarnowskiego stało przystawione do samych drzwi prowadzących do redutowej sali. Zasnęli. O dziewiątej punktualnie huk muzyki obudził raptem obydwu podróżnych. Zerwali się na równe nogi. Czarnowski, zawsze ciekawy zabawek tego świata, stanął, jak był, w jednej koszuli na swoim łóżku i przez szpary drzwi starał się zobaczyć, co się w sali redutowej dzieje. Rönno, wesoły i pusty, bez żadnej złej myśli, chcąc go tylko z lekka nastraszyć, wyskoczył z pościeli i popchnął go ku drzwiom. Ale, zgrozo! oto niespodziewanie na nieszczęście niefortunnego „Lojoli" drzwi bez zamka i tylko przyklejone papierem otworzyły się niespodziewanie na roścież do sali i Czarnowski, który się na nich opierał, na łeb z łóżka w naturalnym, jak był, stroju wleciał w sam środek wyciągniętego we dwie linie modnego podówczas ekoseza (szkockiego tańca). Rönno znowu, przerażony wypadkiem i sam również elegancko ubrany, natychmiast połowy drzwi na nowo zamknął.

Wyobraźcie sobie zdziwienie, przerażenie, rumieńce dam, i mężczyzn zgromadzonych w sali, kiedy im niespodziewanie taka kusa, obnażona, w szlafmycy, a nikomu nie znajoma wleciała figura! Ale co się działo z naszym nieszczęśliwym „Lojolą"! Nie znając sal, bez przytomności latał po pokojach i bufetach, szukając wyjścia. Rozstępowały się przed nim szeregi, bojąc się zbiegłego, jak mniemano, ze szpitala wariata. Ledwie go na koniec schwycili lokaje i obwiniętego dla przystojności w płaszcz odźwiernego stróża na dziedziniec wynieśli. Tam nastąpiły objaśnienia i przy świadectwie trzymającego się mimowolnie za boki od śmiechu Rönnego Czarnowski wrócony został tak nieszczęśliwie opuszczonym pierzynom.

DOM KSIĄŻKI

WYBRAŁ
Z. SKWARCZYŃSKI
RYS. WŁ. KOKIETEK

I

GAJOWY:
Noc mroźna wokół, psy już zasnęły
i nikt nie czeka pod borem,
czemuż to mojej dziewczyny nie ma
pod umówionym jaworem?

Miała mi przynieść moją „Szarotkę"
i trochę herbaty z rumem,
i, zamiast przynieść, paznokcie strzyże
i na skroń leje perfumę.

(Wicher.)

Ach, cóż za ciemność? że oko wykol!...
noc czarna jak atrament...
i tylko wicher w lesie sporządza
ostatni roczny remanent.

Wymiata liście, czesze chojaki,
przetrząsa śniegową pierzynę,
chyba by tylko dureń się wybrał
rąbać państwową jedlinę.
(Coraz sroższy wicher.)

Ach, co za wicher! omal mi ręki,
nogi i strzelby nie urwie,
ile się w służbie natyra gajowy,
jedynie to niebo i bór wie.

Obejdę rewir, zobaczę jeszcze,
czy ktoś tam czego nie rąbie
i dla postrachu strzelę i zagram
na swej służbowej trąbie
(Strzela ze swej strzelby i trąbi na postrach.)

2

TATA:
Mam pół etatu w Delikatesie,
cały w Geesie.

DZIECKO:
I to, co chce się,
to się przyniesie.

MAMA:
I ja też przecie mam kram w Emhade
i w Peesesie.

2 DZIECKO:
Dajesz se radę.

TATA:
I tak z rąk czworga
i dziesięciorga
palców żyje się.

MAMA *(wyliczając na palcach)*:
Mamy salami, mamy kuraki,
mamy przeróżne przysmaki,
mamy cytryny, grejpfruty, chałwy,
daktyle, figi, fistaszki...
kakao, szproty, Neskę, sardynki,
konserwowane ptaszki....
Mamy mieszkanie i przydział na nie...
Lodówki, pralki prześliczne...
Mamy i rumy, na stolcach kumy,
likiery obcojęzyczne...
„Lanshidy-bridże", „Lopeze", „Cory",
koniaki, mandarynki;
mamy pralinki, mamy i kwartę
węgierskiej „Barack-Palinki"...
I „tatę z mamą" mamy i błamy,
piękne dzianiny i lamy,
jednego tylko jeszcze nie mamy:
ładnej choinki nie mamy.

1 DZIECKO *(jak wyżej)*: 2 DZIECKO *(j. w.)*; TATA *(j. w.)*; 1 DZIECKO *(j. w.)*; MAMA *(j. w.)*; TATA *(j. w.)*; CHÓR DZIECI *(j. w.)*

MAMA:
Zabierz siekierkę, pobiegnij do boru!...
Cóż nam z napojów i jadła?
Biegnij po jodłę!... co z świerkowego
przyjdzie nam czupiradła?

3

DZIEWCZYNA:
Jeszcze nastawię naszą „Szarotkę",
i płaszczyk paskiem przewiążę,
zabiorę termos i do miłego
w tę leśną rubież podążę.
(Podąża słuchając koncertu życzeń tej treści:... „zaś od pani Krystyny Fudalejowej z Opoczna, wraz z mężem i ośmiorgiem dzieci, Brzusiem, Brysiem, Maniusią, Ciastusią, Lalunią, Adolfkiem, Klarusią, Wacusiem i ciocią Kamilą Knurozwecką z Wrzęczypałowic Dolnych nad Bzurą oraz od Przybysława Przebiśnieg-Kolczyńskiego z „Pafawag em cztery" jako też od Krzysztofostwa Baców z Sulęcina, dalej Hulasi Jawnobrodzkiej-Kurobrodzkiej z Przetacznicy...")

TATA *(ścinający choinkę)*:
Kto jesteś człecze w żeńskiej postaci?
Jakiemuś narwała się lichu?
Nie możesz liczeń w koncercie życzeń
nagrywać bardziej po cichu?
Czy warto słuchać pół setki nazwisk,
kobieto, bój że się Boga!
by w końcu słyszeć o siwym włosie

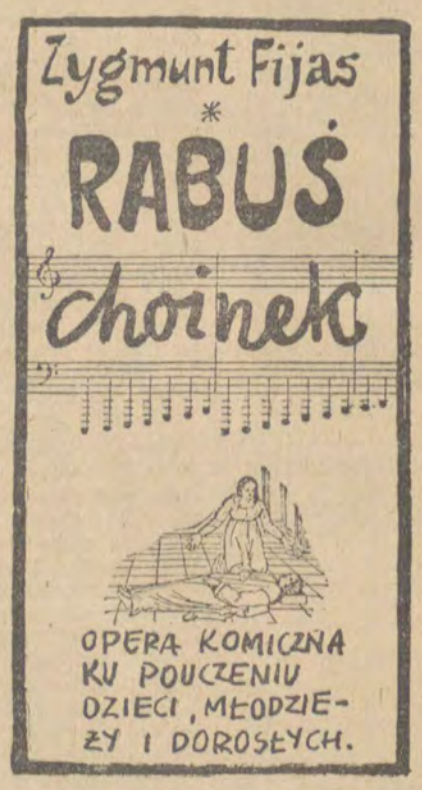

w interpretacji Fogga?
Albo też Sławy, Marty, Nataszy,
nucących „Gorzkie żale"
o tym, że facet w żółtych skarpetkach
rzuci się w tanga fale?
Powiedz kim jesteś? Czartem, czartową,
diaskiem, Borutą boru?!
Żeś nie jest biesem, daj uroczyste
na to mnie słowo honoru.

DZIEWCZYNA:
Słowo honoru, złodzieju jodeł,
co jeszcze chciałbyś, by dać ci?!
Jam nie jest diaskiem, ani diaskową,
ni biesem w damskiej postaci!
Niosę „Szarotkę" dla swego chłopca,
by pełniąc służbę, mógł i tu
słuchać koncertów i innych różnych
kształcących umysł odczytów.
Właśnie za chwilę będzie nadana,
czy wiesz, audycja jaka?
taka, byś wiedział, za coś ty siedział,
ściąwszy siekiera chojaka!

Bo wiesz, co dzisiaj surowce znaczą
drewniane! i jakie znaczenie
mieć będą wtedy, gdy masa z tworzyw
wyprze wełniane odzienie?

Wiesz ty, rabusiu, ile chojaki
dostarczą nam kapeluszy,
ile obrusów, waciaków, pończoch,
spodni i pióropuszy?

Wiesz, ile chustek, krawatów, smoczków,
wstążek, trampek, bamboszy,
ile aptecznej waty i książek,
halek i biustonoszy?

Czy nie wystarcza ci strach na wróble,
byle zielony i z gwiazdką?
Nie możesz żądzy swej zadowolić
jakąś z papieru namiastką?

(Dźwięk trąby gajowego)

Już się tu zbliża stróż tego boru,
iżeś bez pozwolenia
ścinał choinki, zaraz cię wsadzi
na gwiazdkę do więzienia!

TATA:
Jeśli audycji jesteś ciekawa,
to lepiej cię przysposobię
do niej, gdy zwiążę*)...
(Obwiązuje sznurkiem jej kibić, potem kończyny.)
A teraz precz pójdę sobie.

(Patrzy na zegarek, nastawia „Szarotkę" na Warszawę i odchodzi z choinką żegnany sygnałem radiostacji oraz słowami: „Ukończyliśmy nasz koncert na gitarach pneumatycznych. Obecnie nadamy utrwalony na taśmie magnetofonowej odczyt z cyklu „Nowoczesne tworzywa". Tytuł dzisiejszego odczytu brzmi: „Poprzez kubrak do fraka, potem od fraka do kubraka i od kubraka do fraka").

4

TATA:
Mam pół etatu w Delikatesie,
cały w Geesie.

Kuzynka Włada
w MHM włada.

1 DZIECKO:
Choć czymś zawładnie,
to nie podpadnie
nigdy szkaradnie.

2 DZIECKO:
Gdy w sklepie zamęt,
zaraz remanent,
potem traktament.

MAMA:
Klient jest z nami,
więc mówiąc między nami,
nie sąśmy sami.

TATA: *(wyliczając na palcach)*
Mamy kawiory, dzicze języki,
mamy pieczone indyki...

MAMA *(j. w.)*:
Mamy szampany i bakłażany,
oraz przeliczne, obcojęzyczne
bodźce ekonomiczne...

DZIECI (chórem):
A teraz proszę taty i mamy,
wszystkim władamy,
skoro jodełkę mamy.

(Kurtyna rozsuwa się ukazując zachwyconej publiczności czterometrową choinkę, obwieszoną stupięćdziesięcioma kilami przeróżnych łakoci, przeróżnymi zabawkami, et caetera bomba, oraz stół kuchenny uginający się pod siedemdziesięciu pięciu półmiskami.)

---

*) *(Zwiążęć, nie licentia poetica, ale staropolska forma znaczącą „zwiążę cię". Uwaga zecera.)*

W tym domu (Długa nr 14) przed dwunastu laty wydarzyła się tragedia. Fronton kamienicy do dziś „zdobi" szyld zakładu fryzjerskiego. Nie zmieniła się ani firma ani właściciel.

Śledztwo rozpoczęte 2 sierpnia 1947 r. zostało umorzone 12 marca 1948. Sprawcy nie znaleziono.

Mówi się, że nie istnieje morderstwo doskonałe. I w tym wypadku wszystko wskazywało, że sprawca zostanie ujęty.

Mija blisko 12 lat od chwili, gdy ręka mordercy odebrała życie Stanisławowi Kadłuczce — właścicielowi sklepu filatelistycznego w Krakowie.

Kadłuczka nie należał do siebie. Wokół niego stał legion filatelistów, ludzi mu podobnych — niewolników manii. Ludzi, którzy zająwszy się kolekcjonowaniem znaczków, podpisali cyrograf — praktycznie bezużyteczną manię przyjęli za sens i cel swego życia.

* * *

Od lat dziewięciu dzień po dniu o godzinie 8 rano mijał sień domu przy ul. Długiej 14 i skręcał na lewo do swojego ciemnego sklepu z jedynym zakratowanym oknem, wychodzącym na podwórze. Otwierał interes i szedł się golić do fryzjera, który miał „salon" od frontu. Sklepik łączył się z zakładem fryzjerskim drzwiami, z których nie korzystano. Były zabite. Pozwalały jednak słyszeć wszystko, co działo się po obu ich stronach.

Tego dnia, 2 sierpnia, jak zwykle, Kadłuczka przyszedł do fryzjera około godz. 8.30. Był dziwnie przygnębiony i małomówny, choć zawsze cechował go rubaszny humor, właściwy naturom prostym—ludziom zdrowym i zażywnym. Około 9 odwiedził go brat dozorcy posesji. Prosił o oddanie dozorcy paczki. W kilka minut później dozorca nadszedł i paczkę otrzymał.

Młody człowiek — mieszkaniec domu oczekiwał w sieni na spotkanie z bratem, z którym umówił się o 9.30 Gdy zeszedł na dół, była 9.25. Widział on świeże ślady krwi na posadzce sieni, ale się nimi nie zainteresował. Za chwilę brat się zjawił i wyszli.

Pierwszy klient odwiedził sklep o godzinie dziesiątej. Panowała tam dziwna cisza. Za ladą, na podłodze w kałuży krwi, walały się katalogi znaczków. Nieco dalej, za przepierzeniem, wśród poprzewracanych mebli, leżał właściciel.

Zabójstwa dokonano w biały dzień, w domu pełnym ludzi. Morderca miał mało czasu. W kronice życia kamienicy tylko 15 minut między 9.10 a 9.25 stanowi niewiadomą.

Natychmiastowe oględziny lekarskie pozwoliły ustalić, że zmarły otrzymał kilka ciosów tępym narzędziem, które zdruzgotały mu nos, następnie szereg ran kłutych w okolicy skroni, po czym brzytwą poderżnięto mu krtań. Zabójca w czasie szamotania otrzymał ranę i odchodził krwawiąc. Ślady krwi prowadziły ul. Długą w kierunku Basztowej i dalej. Ostatni krwawy ślad znaleziono na zewnętrznym parapecie parterowego okna na rogu ul. Św. Jana i Św. Tomasza.

Dalej trop się urywał... jak dotąd na najbliższe 12 lat.

KIM BYŁ ZAMORDOWANY?

W spisie lokatorów przy ul. Friedleina 31, gdzie mieszkał do śmierci, na jego wizytówce wydrukowanej pismem maszynowym, przekreślono „Stanisław" i napisano atramentem „Marian", nie ruszając do dziś tekstu nazwiska. Mieszka tam teraz jego syn, który w chwili śmierci był 16-letnim chłopcem. Starsza córka zniszczyła pamiątki po ojcu, by wspomnienia nie drażniły matki.

Ta przekreślona wizytówka i jakieś zdjęcie w albumie rodzinnym to wszystko, co zostało po zamordowanym.

Żona zmarłego — p. Zofia Kadłuczkowa, ma obecnie lat blisko 50. Opiekuje się wnuczkami i żyje wspomnieniami tamtych lat. Do dziś nie uspokoiła się po wstrząsie. Nadchodziła właśnie 20 rocznica ich ślubu — 14 sierpnia. Chcieli ją uczcić, jak przystało...

Przed wojną był biednym rzemieślnikiem — ramiarzem. Oprawiał obrazy w salonach wystawowych Szmausa i Horowitza. Roboty starczało na 2 — 3 dni w tygodniu, zaczął więc w chwilach wolnych kolekcjonować znaczki.

Nie wiedział, że podpisuje cyrograf.

W r. 1938 udało mu się otworzyć sklep filatelistyczny. Prowadził go dalej po powrocie z frontu, już podczas okupacji. Miał wielu klientów wśród Niemców i prawdopodobnie dzięki temu udało mu się uniknąć wyjazdu na roboty. „Polityką" nie zajmował się.

Interes prosperował doskonale również w pierwszych latach powojennych, ale Kadłuczka powoli dziwaczał. Przestał ufać pieniądzom, wszystko co zarobił lokował w znaczkach. Mania wciągała go coraz bardziej. Nie zawahał się przed wykorzystaniem zażyłej znajomości z jednym z pracowników Drukarni Narodowej, gdzie bito znaczki. Prawdopodobnie przez Kadłuczkę na rynek filatelistyczny dostały się tzw. „odwrotki FIS" — o wartości nominalnej 20 zł a sprzedawane wskutek odwrócenia napisu po 130 — 500 zł. Tą samą drogą m. in. zaopatrzono filatelistów w cięte znaczki „Poznań" i „Westerplatte", pochodzące z uszkodzonych walców i przeznaczone na makulaturę.

TEGO NIE MOŻNA NAZWAĆ ŚLEDZTWEM

Wśród filatelistów krakowskich krąży opinia, że są ludzie, którzy wiedzą, kto popełnił morderstwo. Ta opinia jest oczywiście niesprawdzalna, należy jednak odnotować jej istnienie. Jako symptom. Zamordowano bowiem człowieka mocno osadzonego w określonym środowisku, które mogłoby z pewnością powiedzieć więcej, niż w śledztwie powiedziano. Tak zwykle dzieje się z „mafiami" (przy całej umowności tego określenia w odniesieniu do filatelistów) — a raczej w tym wypadku, handlarzami „towarem" filatelistycznym. „Mafie" załatwiają wewnątrz własne porachunki, zwartym frontem przeciwstawiając się ingerencji z zewnątrz.

Na przykład: przesłuchiwani w śledztwie kupcy i filateliści w większości przyznali się, iż było im wiadomo, że Kadłuczka produkował, bądź kolportował, fałszywe znaczki. A jednak poza jedynym wyjątkiem, nikt z nich nie zameldował władzom wcześniej o tym fakcie. Interesem kupców było sprzedawać poszukiwane falsyfikaty, ambicją niektórych filatelistów — posiadać rzadkie błędnodruki lub odwrotki. Czyż można wymagać od nich „lojalności"?

Jasne więc, że w takiej sytuacji śledztwo było utrudnione, tym bardziej że nic nie wskazywało, by miały istnieć inne motywy zbrodni, niż porachunki wewnątrz środowiska (nie myślimy wyłącznie o Krakowie — mogła to być afera na skalę krajową lub nawet międzynarodową).

Niemniej, sposób przeprowadzenia śledztwa nasuwa jeszcze dziś (a może właśnie dopiero dziś) tak duże obiekcje, że trudno ich nie omówić.

Po stwierdzeniu, że morderca broczył krwią ze zranionej ręki, milicja „szkolnym" systemem zasięgnęła informacji w pogotowiu ratunkowym i ujęła trzech ludzi, nie mających — jak się wkrótce okazało—nic wspólnego ze sprawą.

Na tym skończyły się „doraźne" poszukiwania mordercy.

Jednocześnie zadowolono się zeznaniem fryzjera z frontu. Fryzjer nic nie słyszał przez drzwi, zza których normalnie dochodziły odgłosy każdej żywszej rozmowy (a przecież zabójstwo poprzedzone było bijatyką połączoną z przewracaniem mebli). Nie próbowano odszukać klientów, którzy przebywali podówczas w zakładzie i skonfrontować ich spostrzeżenia z zeznaniami fryzjera.

Zabójstwo i nie nasuwało sugestii rabunku (ze sklepu nic nie zginęło), ale przecież zamordowany miał wyciągniętą na wierzch tylną kieszeń spodni, której zawartości nigdzie nie znaleziono. Nigdy nie próbowano ustalić, co mogło się znajdować w tej kieszeni.

Jeden ze świadków zeznał: **Mówił mi Kadłuczka kilka dni przed śmiercią, że przyjechał do niego motocyklem funkcjonariusz ochrony skarbowej i powiedział mu, że władze finansowe wiedzą o nabyciu przez Kadłuczkę zbioru znaczków wartości 1 miliona zł od jakiegoś filatelisty z Tarnowa i o niewciągnięciu transakcji w książki kasowe. Kadłuczka twierdził w rozmowie ze mną, że nic takiego nie zaistniało, ale sądzę, że gdyby zbioru nie kupił, to by o tym nie mówił i nie radził się co ma zrobić, bo ignorował władze skarbowe".** Wersję o transakcji z przybyszem z Tarnowa powtarzali zresztą i inni filateliści. Po śmierci zbioru nie znaleziono. Śledztwo nie tylko nie poszło tym śladem, ale nawet nie próbowano odszukać owego motocyklisty, chociaż istniał ślad szantażu (jakiś motocyklista powtarza się jeszcze raz —z kimś na motorze rozmawiała rankiem w dniu morderstwa Kadłuczkowa; zeznała potem, że to znajomy).

O szantażu też może świadczyć zeznanie jednego ze świadków, który stwierdził, że Kadłuczka tuż przed śmiercią mówił mu: **„Interesy się skończyły a muszę w dalszym ciągu „bulić" pieniądze".**

Grywało się w karty u Kadłuczki w sklepie dosyć często, ale znowu niecodziennie. Tymczasem oba wieczory poprzedzające śmierć spędził Kadłuczka ze znajomymi na turniejach w „66". Było tam dwóch znajomych Kadłuczki, którzy między sobą prawie się nie znali i jeszcze ktoś czwarty, zwany „Ghandi". Jeden ze znajomych zeznaje, że „Ghandi" był przyjacielem tego drugiego, natomiast drugi twierdzi, że był on przyjacielem Kadłuczki, zaś on sam zna tylko jego przezwisko. Śledztwo nie zainteresowało się bliżej ani „Ghandim" ani też dwoma osobnikami, którzy odwiedzili grające towarzystwo w dniu 1 sierpnia. Z tych dwóch, jeden pożegnał się wcześniej a drugi pozostał do końca „turnieju" i przy pożegnaniu wyszedł razem z Kadłuczką.

Nie wzięto również pod uwagę okoliczności, że w tym samym czasie zginął niewyjaśnioną śmiercią (w wypadku ulicznym) właściciel równie wpływowej firmy filatelistycznej „Rybak" na Wybrzeżu, który pozostawał w zażyłych kontaktach handlowych z Kadłuczką.

* * *

Psy gończe zgubiły ślad piętnaście metrów od bramy...

Zakład medycyny sądowej odpowiedział, że nie ma koniecznych odczynników do wykonania analizy krwi mordercy...

Na miejscu morderstwa nie zdjęto odcisków palców nawet ze znalezionego zakrwawionego stempla, którym być może zdruzgotano zmarłemu nos...

Nie zabezpieczono np. niedopałków papierosów, włosów, skrawków materiału lub papieru itp. przedmiotów, które mogłyby mieć wpływ na przebieg śledztwa.

Te przykłady wskazują, jak ogromny postęp zrobiła służba śledcza M. O. przez ubiegłych 12 lat, gdyż dzisiaj tego rodzaju niedociągnięcia byłyby nie do pomyślenia, a morderca musiałby zostać znaleziony...

* * *

Dodać trzeba również, że sprawa przyjęła zgoła inny obrót, gdy wkrótce na widowni pojawił się szalbierz nr 1 — sprawca wielkiej afery filatelistycznej, legitymujący się na dodatek oficjalnym zaświadczeniem Głównego Inspektoratu Ochrony Skarbowej, zlecającym mu ekspertyzę finansową zasobów filatelistycznych w Polsce.

O nim w następnym odcinku...

Zza kulis manii stulecia (1)

ANDRZEJ ZYBERT

Morderca nie mógł się znaleźć

Najdroższy znaczek świata — Gujana Brytyjska — 1 cent karminowy — szacowany jest dzisiaj na 300 tys. dolarów. Jego posiadacz występuje anonimowo.

Na wystawach znaczek eksponowany jest w kasie pancernej za szkłem pancernym. Pilnuje go stale, nawet w trakcie transportu, czterech uzbrojonych agentów.

W ciągu ubiegłych stu lat zbieractwo znaczków zdystansowało wszystkie inne manie kolekcjonerskie. Filatelistów liczy się dziś na miliony.

Wraz ze zbieractwem rozwijała się nieodłączna spekulacja znaczkami, wykształciła się rzesza ludzi, którzy „żyją" z filatelistów, wykorzystując ich pasję.

Jak daleko może zaprowadzić mania lub chęć zysku?

W momencie ucieczki Niemców i tuż po oswobodzeniu udało się Kadłuczce zdobyć za grosze lub wręcz za „litr wódki" olbrzymie zapasy unieważnionych znaczków G. G., z których ostatni (10+10) nie zdążył niemal wcale wejść w obieg. Znaczki te zdobyły wkrótce wartość, sięgającą milionów.

Zapasy G. G., makulatura znaczków polskich, odwrotki itp. „cuda" pozwoliły Kadłuczce na rozkręcenie interesu. Stał się też poważnym eksporterem znaczków za granicę, do USA, Norwegii, Kanady, Szwecji, Węgier i Czechosłowacji.

W chwili śmierci „towar" znaleziony w sklepie oceniono na sumę 4 mln. 450 tys. zł (w starej walucie), przy czym istnieją uzasadnione przypuszczenia, że to nie było wszystko.

W tym czasie już nikt z kupców filatelistycznych nie mógł rywalizować z Kadłuczką. On dyktował ceny, on „posiadał takie źródła nabycia znaczków, o których żaden z nas nie wiedział i nie miał do źródła dostępu" (z zeznań świadka — innego kupca filatelistycznego).

* * *

Kolekcjonerstwo przywykliśmy traktować jako zabawę lub pasję ludzi majętnych, stojących na wysokim poziomie intelektualnym, takich którzy na coś podobnego mogą sobie „pozwolić".

Tym głębsza tragedia człowieka prostego i ubogiego, który oddał życie za to, że nie potrafił zachować swojej manii w stanie „czystym", że warunki życiowe zmusiły go do szukania w niej źródła egzystencji dla siebie i rodziny.

Kartka, wyrwana z katalogu znaczków, którą znaleziono w kieszeni zmarłego Kadłuczki (widoczne plamy krwi). Tak jak inne drobne przedmioty, nie została wykorzystana jako „punkt zaczepienia" dla śledztwa.

Dwa warianty znaczków „Poznań" — ząbkowane to znaczki normalne, obiegowe; cięte natomiast pochodzą z próbnych walców i miały być przeznaczone na makulaturę. Drogą nielegalną dostały się jednak na rynek filatelistyczny i były najprawdopodobniej kolportowane m.in. przez Kadłuczkę.

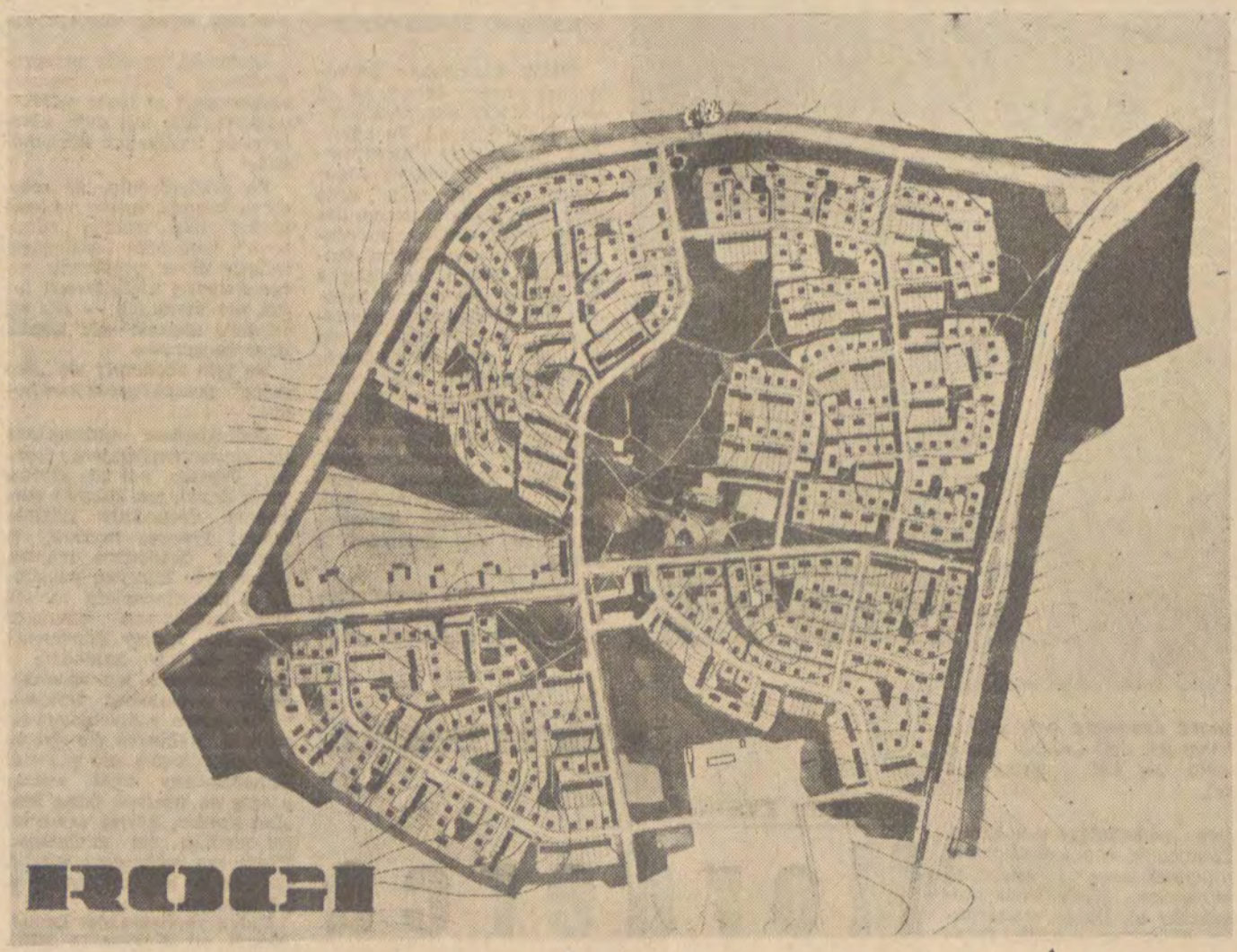

Plan osiedla Rogi, największego w Polsce osiedla domków jednorodzinnych z elementów gipsowych.

Z cyklu: WOJEWÓDZTWO NAJBLIŻSZE

Operacja: ROGI

SMUTNY ZIMOWY PEJZAŻ

Każdy zimowy pejzaż jest smutny. Prawie zawsze przypomina cmentarz. Te szerokie, lekko sfałdowane pola w południowo-zachodniej części Łodzi, gdzieniegdzie zakrzaczone, poryte rozpadlinami, te pola — cmentarz na stu dwudziestu hektarach — tym smutniejsze, że nie znać na nich śladów jakiegokolwiek ludzkiego działania.

W dorzeczu ulic Strykowskiej, Rogowskiej i Wycieczkowej płodziły się zające, hasały kuropatwy, buszowali podmiejscy myśliwi, zbyt leniwi, by jechać w gąszcz prawdziwych łowisk.

Przedmieście Łodzi, smutne, zakurzone, zaśnieżone. W perspektywie ciętej świszczącym wiatrem dogorywa poczerniała opuszczona buda.

Ta ziemia czeka, diabli wiedzą, na wiosnę? Na lato? Na przyszłą zimę? Czeka.

WESELI CHŁOPCY NA CMENTARZU

Nie, nie czeka. Czekała. Któregoś dnia, kiedy jeszcze nie spadł śnieg i sto dwadzieścia hektarów pola czerniło się po horyzont, przyjechali na cmentarz czterej dorośli chłopcy. Zatroskani, ale ich troska była wesoła. Rozmawiali z ziemią językiem, który ona równie dobrze rozumie, jak oni. Oni i ziemia wiedzieli, czego od siebie chcą.

A pierwszy wesoły chłopiec: Jerzy Kurmanowicz.

A drugi był: Gabriel Mirecki.

Trzeci: Tadeusz Sumień.

I czwarty: Henryk Wachowiak.

A każdy: magister inżynier.

A wszystkich razem nazwać można: Zespół Projektantów Największego w Polsce Osiedla Domków Jednorodzinnych w Rogach.

CO I JAK

Więc jak się rzekło, na stu dwudziestu hektarach pól między Rogowską, Wycieczkową a Strykowską stanie około tysiąca domków. Średnio licząc po pięciu mieszkańców na domek. Osiedle zmieści pięć tysięcy mieszkańców. Układ domków rozmaity. Trzydzieści pięć procent szeregowych, po osiem, dziesięć, dwanaście domków w szeregu. Trzydzieści procent pojedyńczych, pozostałe natomiast tzw. „bliźniaki".

Wyposażenie każdego domku, niezależnie od typu będzie jednakowe. Ogólna powierzchnia: pięćdziesiąt pięć metrów kwadratowych. Trzy pokoje, kuchnia, łazienka, magazyn domowy o powierzchni dwadzieścia pięć metrów kwadratowych, oczywiście, oprócz wyżej podanej powierzchni mieszkalnej. Magazyn będzie podpiwniczony, reszta domu natomiast nie. Dlaczego, później wytłumaczymy.

Domki będą pozbawione strychów. Przestrzeń między dachem a sufitem wypełni lekka, mocna konstrukcja wspierająca. Suszarnia znajdzie się w części obszernego zaplecza domu...

Słowem, projektanci opracowali model domku jednorodzinnego, najłatwiejszego do zbudowania w naszych warunkach, najtańszego, z naciskiem na maksymalne wykorzystanie całej powierzchni mieszkalnej.

O komunikacji do — i wewnątrzosiedlowej dobrze pomyślano. Wzięto również pod uwagę rozwój zainteresowań motoryzacyjnych przyszłych mieszkańców osiedla. Każdy zespół dziesięciu, dwunastu domków otrzyma sześć, do ośmiu szeregowo ustawionych garaży.

TOPOGRAFIA RAJU

Każdy zgodzi się, że to niemalże raj. Lekkie, kolorowe domki otoczone drzewami, ogródkami pełnymi kwiatów, puszystymi krzewami. A zieleń jest bardzo ważna. Zwłaszcza dla takiej potęgi przemysłowej, jaką jest Łódź.

Za ulicą Rogowską rozciąga się las łagiewnicki. A więc jest zielone zaplecze. W przyszłym centrum osiedla, wokół zadrzewionego wzniesienia zachowa się główne zespoły „zieleni organizującej", a wzdłuż ulic bocznych trzeba będzie oczywiście wkopać sporo drzew i zapchać puste miejsca krzakami, które w nomenklaturze Czterech Wesołych Chłopców zwą się „zielenią niską".

Każdy zespół domków będzie miał własny „plac zieleni" z piaskownicą i innymi urządzeniami dla dziecięcych zabaw, a od każdego zespołu ocienione zielenią uliczki będą wiodły do Centrum Osiedla.

CENTRUM

Tu już prawdziwy park! Naturalne ukształtowanie terenu: wzniesienia, rozpadliny, wykorzystane zostaną dla uatrakcyjnienia pejzażu.

Będą tu boiska tzw. „małego sportu" (wszystko ci Projektanci, jakoś dziwnie nazwią) a więc: siatkówki, koszykówki. Nie myślcie jednak, że centrum osiedla ma spełniać funkcję tylko rozrywkową. Wręcz przeciwnie! Będzie to miejsce nie lada jakiej kategorii: na południowym stoku, w masywie zieleni stanie piętnastoklasowa, kompletnie wyposażona (boiska, sale gimnastyczne, kąty) szkoła podstawowa.

Dorośli nie będą narzekać na braki i trudności w zaopatrzeniu. W centrum znajdzie się ośrodek handlowy ze sklepami różnych branż. Będzie też punkt pralniczo-farbiarski. Oczywiście, urząd pocztowy, kawiarnia. Każdy z czterech zespołów domków, będzie miał po dwa sklepiki - kioski, w których mieszkaniec zaopatrzy się w podstawowe artykuły, darując sobie bieganie do centrum.

Nie chciałbym nikogo zmartwić, ale jestem pewien, że na tym osiedlu ludzie będą chorować. Dlaczego? Dlatego, że ludzie w ogóle chorują, tak to już jest, więc niby dlaczego na osiedlu mają nie chorować? A Zarząd Aptek zakłada, że żyjąc w tak dobrych warunkach, nikt nie powinien chorować, nawet głowy nie mogą boleć. I Zarząd Aptek, „nie przewiduje" zaopatrzenia pięciotysięcznego osiedla w aptekę. To się Zarządowi Aptek nie opłaca. Natomiast mnie się z przyjemnością opłaca napisać o tym.

SPRAWY WSTYDLIWE

Bo i w budownictwie takie sprawy są. Gaz, woda, kanalizacja. Więc gaz dojdzie do osiedla bez większych trudności. Rurociąg z wodą doprowadzono już do ulicy Wycieczkowej, do skraju osiedla. Chwilowy brak rur, no i mróz przerwały pracę. W pierwszym kwartale nowego roku ten problem będzie rozstrzygnięty.

Stacja transformatorowa gwarantuje zaopatrzenie osiedla w światło i energię elektryczną.

Więc gdzie sprawa wstydliwa? Ano, jest.

Normy (te mityczne, nieumotywowane koniecznością, nie wiadomo przez kogo ustanowione normy!) więc „normy" „nie przewidują" kanalizowania tego rodzaju podmiejskich osiedli budownictwa indywidualnego. Trudno. Siła wyższa, metafizyczna, rzec można, choćby dlatego, że brak w niej śladu ludzkiej myśli.

Trzeba więc kanalizację ratować lokalnie. Są dwie koncepcje: albo na każdej działce szambo dla poszczególnego domku, albo szambo centralne dla całego osiedla, tak jak to jest na osiedlu Berlinek. Sprawa wstydliwa. Normy.

ŁADNY GIPS

Teraz wyjaśnimy, dlaczego tylko część gospodarcza domku będzie podpiwniczona, a reszta nie. Otóż osiedle Rogi, to inwestycja spółdzielcza, wynikła z inicjatywy Łódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej „Osiedle Młodych". Inwestor założył, że domki jednorodzinne na Rogach powinny przypaść w udziale ludziom średnio, a nawet mniej niż średnio zarabiającym. Dlatego koszt domku ustalono po długich oszczędnościowych kombinacjach: pierwsza wpłata w wysokości dwunastu tysięcy złotych, następnie raty miesięczne w wysokości około trzystu złotych, rozłożone na dwadzieścia lat.

Ażeby zrealizować projekt należało zdecydować się na materiał budowlany najtańszy i zabezpieczyć sobie odpowiednią tego materiału ilość. Ten materiał, z którego osiedle będzie zbudowane, nazywa się GIPSOŻUŻLOBETON. Oczywiście głównym i najważniejszym składnikiem w tej mieszance jest gips. Tanie to i dużo tego. Dolina Nidy, jak wiadomo to dolina gipsu — leży niedaleko, więc i transport taniej wyniesie.

Po raz pierwszy w Polsce zastosuje się w budownictwie gips na tak dużą skalę. Osiedle Rogi jest więc w pewnym sensie osiedlem eksperymentalnym.

Obecnie, kiedy zima sparaliżowała dopiero co rozpoczęte prace przy wykopach, założony na miejscu ośrodek prefabrykacji będzie produkował do wiosny elementy przenośne, stropy, płyty chodnikowe itp.

Ale, ale, byłbym zapomniał. Kiedy już wykupiono wszystkie spółdzielcze udziały, kiedy rzesze chętnych odeszły z kwitkiem od wizji posiadania tanim bądź co bądź kosztem przyzwoitego domku — wtedy Spółdzielnia podniosła wysokość pierwszej wpłaty do czterdziestu pięciu tysięcy złotych. No, przyznacie, na taką sumę nie każdy może sobie pozwolić. Ale czy to wina Spółdzielni? Czy tylko chęć zysku, „wydrenowania" kieszeni obywateli spowodowała podwyższenie ceny?

Nie. Pierwotny kosztorys sporządzono według cen, obowiązujących przy zakupie materiałów budowlanych takie instytucje jak DBOR. A potem okazało się, że Spółdzielnia, która przecież nie jest spółką prywatną, musi płacić za wszystkie, oprócz gipsu, materiały według cennika detalicznego, stosowanego wobec nabywców prywatnych.

To oczywiste nieporozumienie ze strony jakichś tam Władz — Budowlano - Zaopatrzeniowych, bo to przeszkadza wybudować bardzo piękne osiedle nie dla kogo innego, tylko dla pracowników państwowych zakładów pracy.

W efekcie koszt jednego domku podskoczył o blisko sto procent. Ładny gips, co? A może by tak udzielić trochę DBOR-owskich przywilejów naszej dzielnej Spółdzielni? Leży to w interesie naszego miasta, i na pewno naszego kraju.

JESZCZE WIĘKSZA TROSKA

W końcu nie największym zmartwieniem budowniczych są handlowe powikłania. I tak wszystkie udziały wykupiono. Idzie o rzecz ważniejszą, o sprawę, w którą powinny wkroczyć władze miasta. Mianowicie, makieta osiedla Rogi, to projekt zabudowy terenu między ulicami Wycieczkową, Strykowską a Rogowską. Przyjrzyjcie się uważnie fotografii makiety: osiedle jest jak gdyby podzielone na cztery zasadnicze części, cztery zespoły. Układ taki odpowiada nowoczesnym zasadom planowania urbanistycznego, decyduje o estetyce dzielnicy. Poszczególne elementy życia osiedlowego zostały korelatywnie sprecyzowane w takim właśnie układzie.

Tymczasem w posiadaniu realizatorów znajduje się, jak dotąd, jedna tylko część wschodnia. Reszta terenu należy do kogo innego. Główny inwestor terenowy którym jest Wydział Gospodarki Mieszkaniowej PRN wykupuje teren od innych posiadaczy. Rzecz w tym, aby teren ten został wykorzystany zgodnie z założeniem autorów planu zabudowy. W przeciwnym bowiem wypadku może się zdarzyć to, co łatwo zaobserwować na ulicy Pojezierskiej i Liściastej. Indywidualni inwestorzy budują według swoich, osobliwych planów. Każdy domek reprezentuje inny zupełnie typ, na każdej działce stoją osobne zabudowania gospodarcze, następują zaburzenia w transporcie materiałów budowlanych, budowami rządzą osobne kierownictwa — słowem, marnotrawienie grosza, czasu i wysiłku, nie mówiąc już o tym, jak nieestetycznie wygląda taka dzielnica.

DALSZE ZAMIARY

Ho, ho... Czterej weseli chłopcy chcieliby tymi Rogami przebóść całą Łódź! Oto mają w marzeniu ustawienie — jak oni to mówią — „trójzespołu": Rogi, Marysin, Arturówek. Trzy zespoły pięknych, nowoczesnych, wygodnych domków, składających się na piętnastotysięczne miasteczko. Widzicie więc, że plan osiedla Rogi, to nie tylko plan jednego osiedla. To już rdzeń zabudowy dalszych przedmieść Łodzi, dobrze wkomponowany w tę zaplanowaną na przyszłe lata całość.

Budowa osiedla Rogi zakończona zostanie w 1965 roku. Każdy posiadacz domku otrzyma plan — prospekt umeblowania. No cóż, szczęśliwi przyszli posiadacze — wasze potężne, ciężkie szafy, kanapy z powyginanymi oparciami w żaden sposób nie dadzą się przypasować do nowych wnętrz. A jak można te wnętrza urządzić, to pokaże wystawa, urządzona po wykończeniu pierwszej partii — stu domków — a więc za rok.

ANDRZEJ BRYCHT

Ballada o zielonym wędrowcu

ANTONI KASPROWICZ

A kiedy roślinnością napełnia swe ręce,
Jest — jak derwisz Bajazid, gdy popadał w szał,
I niczego ponadto nie pragnie już więcej
Byle tylko w zachwycie zielonym tym trwał.
Choćby kostur wędrowny utracić znów miał
I torbę wymotaną z kędziołki pajęczej,
Na której po przyrowiu do tej pory spał
Zanim go chwast muśnięciem nie zbudził czym prędzej.

O hej! — popatrzcie tylko jak znów będzie rwał
Kopytnik, podwierzgując z miłości zwierzęcej.

On to w żmudnej wędrówce dostąpił dziś łaski,
Do niego — lecą muszki, komary i ważki,

Do niego — jaszczur, do niego — ślimak pełznie płaski.
Tak nad nim trel skowrończy rozdźwięczał w radości
I światłość się uniosła z dzikiej roślinności!

BERNARD SZTAJNERT

TAJEMNICA MAXA HELLERA*)

Nikt u Maxa Hellera nie korkował butelek lepiej ode mnie! Stałem oparty plecami o framugę drzwi. Podawali mi butelkę z lekko nasadzonym korkiem, a ja rzucałem się całym ciałem naprzód, nie odrywając jednak stóp od podłogi, z wyciągniętą butelką w rękach. Korek uderzał o drzwi i miękko wchodził w szkło. Oczywiście, butelka mogła pęknąć i pokaleczyć mi dłonie... Ryzykowałem jednak chętnie, gdyż Max Heller przypatrywał mi się niekiedy przez uchylone drzwi gabinetu, gładził blond bródkę i mruczał: „Chłopiec jest zdolny... Tak, no zobaczymy". Gdy szef zamykał drzwi, podchodziła pani Róża. Stawała zupełnie blisko i opierając ciężką, pełną pierś o moje ramię mówiła oddychając mi prosto w twarz: „Będziesz zarabiał u nas 500 złotych. Masz dopiero 15 lat, ale nie żałujemy ci. Żurczak nas zawiódł, liczymy teraz na ciebie i na Michała — może wy uratujecie honor mężczyzn w naszej firmie, bo dziewczęta pracują świetnie".

Dziewczęta rozlewały olejki. Gdy byliśmy sami, czesały jedna drugą. Najczęściej drobna ruchliwa Julcia czesała wielką, tęgą blondynkę Romę. Niekiedy kłóciły się gwałtownie, a nawet walczyły wykręcając sobie ramiona i szarpiąc włosy. Piszczały przy tym gwałtownie, zalewały się łzami... Roma siadała na stole i patrząc na butelki perfum, śpiewała niskim głosem, stale tę samą pieśń:

„Już jesień nadeszła,
Już w dal minął dzień
Wiosenną już przeszłość
Jesieni pokrył cień.
Odszedłeś w świat daleki,
Zniknąłeś we mgle".

Rozmarzone pieśnią sadzały mnie przy sobie i uczyły śpiewu. Śpiewałem barytonem. Słowa pieśni wydawały mi się nieznośnie głupie — śpiewałem jednak, by przypodobać się dziewczętom.

Do pokoju wchodził Żurczak. Cicho stawiał na podłodze przyniesioną skrzynkę i słuchał z wytrzeszczonymi oczyma. Po pieśni, Żurczak wychodził, bez słowa. Widziałem go oknem jak szedł przez podwórko kolebiąc się na słabych nogach wielki, nieforemny — wyglądał z daleka na pijaka. Biegłem za nim do magazynu.

Siadywaliśmy na skrzyniach z olejkiem. Nogi opieraliśmy o paki pudru. W magazynie panował półmrok. Odurzał nas zapach perfum. Żurczak mówił, połyskując oczyma i podnosząc z namaszczeniem palec: „Każdy człowiek ma swoje przeznaczenie. Młody jesteś, to tego nie czujesz — ale ja wiem. Ja nawet znam swoje przeznaczenie, zresztą nie tak całkiem. — Ale wiem, że przeżyję wojnę. Ja tobie mówię wszystko o sobie nie tylko dlatego, że cię lubię. Także dlatego, że wiem, wiem, że przetrwam. Nikt nie był już bliżej śmierci jak ja, ale przeżyłem — bo takie mam przeznaczenie. Kiedyś, przyprowadzili mnie już na gestapo. Myślałem przez chwilę — koniec. Bo wtedy jeszcze nie wierzyłem w swoje przeznaczenie, w swój los. Zabrali mi wszystko z kieszeni i mówią: „Chodź z nami, Żydzie" — a ja, że ja wcale nie Żyd, że pomyłka. Oni mnie po twarzy, ale ja się nie daję. Podobny nie jestem, blondyn, wysoki, może uwierzą. Zaprowadzili mnie w końcu do Obersturmführera SD. Siedział za biurkiem, dopiero po kilku chwilach podniósł oczy. I wtedy Obersturmführer zbladł — ja też zbladłem. Nie odrywaliśmy od siebie oczu. Jak ci to powiedzieć, on był podobny do mnie. Źle to powiedziałem — to byłem ja, ubrany w mundur Obersturmführera SD, a przed nim stał on, blady, ubrany w czarne palto. Wtedy, Obersturmführer wstał zza biurka i zamknął drzwi. Byliśmy sami w pokoju, a właściwie był tylko jeden — dla mnie to byłem ja, dla niego to był on. Nadrabiał miną, oglądał mnie, kiwał głową, mówił: „Olala". Stał przy biurku. Coś się w nim przełamało i miękki, dla mnie już niegroźny, podszedł do drzwi. „Kogoście przyprowadzili, durnie, to przecież Polak". „I tak wyszedłem z gestapo — wiem, że przetrzymam wojnę".

Był jeszcze Michał. Z Michałem nosiłem skrzynki perfum przez ulicę, do sklepu. Skrzynki ugniatały nam barki. Jak tu odpocząć po drodze?! Skrzynkę na trotuarze można postawić, ale jak ją później podnieść i położyć na plecy? Kucaliśmy na ulicy, opierając skrzynki o mur. „Proszę państwa, my naprawdę nie robimy nic złego — mówił Michał gapiom odrzucając w tył włosy ze spoconego czoła. I szliśmy znowu ulicą, ze skrzynkami na ramionach. Raz minął nas Max Heller. Uchylił kapelusza „Trzymajcie się chłopcy!" powiedział z uśmiechem i poszedł do gabinetu.

Kiedyś poprosił mnie do siebie. Siedziałem w głębokim fotelu. Na ścianie wisiała fotografia: piękna dziewczyna, ubrana tylko w kostium kąpielowy, zjeżdżała pędem na nartach. W dole czekał na nią, muskularny młodzieniec, ubrany także w kostium kąpielowy. Młodzieniec stał na śniegu z szeroko otwartymi ramionami, w które narciarka musiała nieuchronnie wpaść. Nie odrywałem oczu od fotografii, zdumiony pięknem tych ciał, radością i siłą promieniującą z uśmiechniętych twarzy. Nagle, w rogu fotografii zobaczyłem drukowany napis „Max Heller — olejek do opalania". Szef pogrzebał na biurku z wdziękiem przechylając brodatą głowę. „Masz dzisiaj wolne popołudnie? Dam ci bilet do teatru. Idź sobie na rewię". Popatrzył na mnie uśmiechnięty i powiedział z lekkim naciskiem: „Tam Kostrzewska śpiewa „Pieśń Solwegi".

Byłem w teatrze i właśnie nazajutrz Michał zatrzymał mnie przed wejściem do magazynu. Kazał mi iść za sobą i o nic nie pytać. Na ulicy opowiedział mi o wszystkim co zaszło. Naciskał właśnie klamkę, gdy od wewnątrz ktoś gwałtownie popchnął drzwi. Weszło kilku gestapowców w mundurach i cywile. „Pracownik?" — zapytał jeden z cywilów Michała — „Pracownik". „Zostać" — powiedział cywil i mijając go w korytarzu weszli w głąb wytwórni Maxa Hellera. Michał wiedział już, że otworzyli skrytkę w ścianie i wyciągnęli siedmiu Żydów. Krążyliśmy kilka godzin po ulicy, ostrzegając interesantów. Pamiętam Romę. Szła z nami ulicą. Jasne włosy miała zwichrzone, płakała. Gdy mijaliśmy po raz ostatni bramę zobaczyliśmy Żurczaka. Żurczak wyszedł z piwnicy i sztywno stawiając nogi minął nas wyprostowany, ocierając się o moje ramię. Jego oczy były ze spazmatycznym skupieniem wpatrzone w punkt ponad naszymi głowami.

W ciągu następnych trzech dni przewoziliśmy kosmetyki do nowego magazynu. Byliśmy bezustannie obserwowani przez tajniaków, ale zawsze z pewnej odległości, nie próbowali nas zaczepiać. Max Heller pozostał na wolności; prowadził dalej przedsiębiorstwo, w nieco skromniejszym zakresie. W czasie przeprowadzki pani Róża kupowała nam na śniadanie szynkę...

Dziś w nocy znów śnił mi się Max Heller. Siedział zgarbiony, na drewnianej skrzyneczce i skubał palcami jasną bródkę. Podniósł się powoli, prostując plecy w przestrzeni mego snu i zerwał wieko. Skrzyneczka była wypełniona butelkami perfum: „Widzisz" — powiedział — „perfumy, tylko perfumy — jestem sobie zwyczajnym kupcem". Twarzy mówiącego nie widziałem dokładnie, znałem go przecież krótko, i straciłem z oczu już 15 lat temu.

*) Z tomu opowiadań przygotowywanych dla Wydawnictwa Łódzkiego.

MLASKANIE

Przykucnięty na czwartym piętrze kojek, w zupełnej ciemności, żułem chleb z margaryną. W lepkiej, smrodliwej ciszy narastało moje mlaskanie, jak drobne tętno zarodka w plazmie jajka. Musia zachrypiał i postękując bełkotał z rosnącą przytomnością: „Ktoś tu je! Słyszycie, ktoś je!" Potem krzyknął „Ej, ty tam spokój, spać!" Miałem jeszcze całą pajdkę chleba i nic na świecie nie mogło powstrzymać mnie od żucia i mlaskania. Pewien bezkarności, przyśpieszyłem mlaskanie. Uderzałem językiem w podniebienie, żułem i mlaskałem hałaśliwie, triumfalnie. W ciemności zaskrzypiały kojki — więźniowie budzili się i siadali nasłuchując: „Długo już je, ma widać dużo chleba, odłamuje sobie chleb rękami i rąbie po kawałeczku".

„Ej, ty skurwysynu!" — zawył nagle Musia — „Wiesz, że trzy dni nie wolno jeść, chcesz żeby zrobili rewizję, żeby wszystkich na schreibsztubę wzięli!" Musia zerwał się na nogi i uderzając rękami o rusztowania kojek, krążył po ciemnej schlafsali. Przez kilka chwil potrząsał z wściekłością jakimś jęczącym głodomorem, potem odrzucił go ze wstrętem i ruszył dalej. „Roztrzaskam ci łeb skurwysynu, zapakuję cię do krematorium". „To tam koło drzwi!" „Na pewno ten stary Czech!" Musia dopadł starca, wykręcił mu ręce i wpakował palce do gardła. „Człowiecze, człowiecze, co dzielasz" — jęczał Czech.

W czasie tej szarpaniny spożyłem ostatni kęs i leżałem teraz bez ruchu powoli zapadając w sen. „A długo jadł — szemrały głosy na dole. — Zjadł chyba dwie pajdki" — gniewnie prychając wracał na barłóg Musia. Ciemność gęstniała.

DANUTA KIEŁCZEWSKA

Darz bór

Dzień rozpoczęłam pod znakiem myślistwa. Decyzja zapadła. Zajmuję miejsce w przedziale. Zabieram z sobą Arlekina. Mój mały braciszek jest ogromnie rad. Na przeciwko nas lokują się dwaj mężczyźni. Ich ubiór: burki i zielone kapelusze oraz dubeltówki i pasy z nabojami, wskazywały, że są to myśliwi. Radość naszego Arlekina nie uszła ich uwagi. Zwracając się ku nam przyjaźnie, pozdrowili nas po myśliwsku: „Darz bór".

— Darz bór — odpowiedziałam.

— Daj z gór — odkrzyknął Arlekin.

Myśliwi wybuchnęli śmiechem. — Nie tak chłopcze, nie „Daj z gór", lecz „Darz bór", czyli niech bór zdarzy.

— Jeśli ten bór zdarzy, to się zabije grubego zwierza — czy tak? — Jeszcze nigdy nie widziałem prawdziwego grubego zwierza. Ciekaw jestem, jak taki zwierz wygląda. Proszę mi coś opowiedzieć, np. o dziku.

Myśliwi są ubawieni postawą Arlekina.

— Więc słuchaj: dzik kształtem przypomina świnię domową, tylko „biegi" ma dłuższe, silniejsze, zakończone „szpilkami".

— Co jeszcze, co jeszcze?

— Ma jeszcze dziczyśko długi, silny „gwizd" z „tabakierą" na końcu. „Fajki" jego i „szable" sterczą groźnie ku górze, wyostrzone na szpic, „świece" ma niewielkie.

— Nie rozumiem, jak on może gwizdać na tej „fajce" i dlaczego pali „świece"?

— Ależ ten „gwizd", to jest u dzika ryj „tabakiera", to nos, „fajki" i „szable", to kły, a „świece", to oczy. Dziki noszą modne „suknie" (sierść) brunatnoczarne „z hvbem" na grzbiecie (rodzaj grzywy) oraz z pięknym, wełniastym „podbiciem".

* * *

Tego dnia postanowiliśmy z Arlekinem, że nie damy się w kaszy zjeść. Docieramy do Nadleśnictwa Państwowego Spała. Stamtąd wraz z leśniczym do spraw łowieckich i jego siedmioma psami, wsiadamy na „myśliwskiego" konika. Wyruszamy na wędrówkę po kniei.

Po kilkunastu minutach jazdy, otwiera się przed nami niewielka polana, gdzie nad urwistym brzegiem Pilicy, stoi „grzyb" olbrzymich rozmiarów. Jest to myśliwska altana. Miejsce, w którym car Aleksander III miał zwyczaj jadać z myśliwymi śniadania przed polowaniem. O kilkanaście kroków dalej, pośród majestatycznie panujących nad krajobrazem 150-letnich sosen, widać sylwetkę groty myśliwskiej; na szczycie jej umieszczony jest kamień-tablica pamiątkowa z napisem: „A III, 1894".

Około roku 1890, gdy grasowały jeszcze w tych okolicach wilki, car rosyjski postanowił podczas jednego z polowań przeznaczyć lasy spalskie na obwód łowiecki. W tym celu powstaje w Spale specjalna służba łowiecka dla tępienia szkodników i ochrony zwierzyny łownej.

Zwarty kompleks lasów, o dużych rozmiarach i dobre warunki siedliskowe sprzyjały w dużym stopniu temu przedsięwzięciu. W krótkim czasie Spała przekształca się w stały ośrodek myśliwski. W roku 1904 powstaje szereg budynków z przeznaczeniem na hotele w okresie polowań. Zwierza było wbród. Jeszcze w ciągu 20-lecia międzywojennego rozbrzmiewały echa rogów i trąbek myśliwskich. Prezydent Mościcki zakłada tutaj swoją letnią rezydencję. Jako symbol myśliwskiej tradycji Spały wyrasta w parku spalskim posąg żubra, naturalnych rozmiarów. Nadszedł okres okupacji, okres wyniszczenia. Zwierzostan zubożał, a to nie tylko z powodu wyjątkowo ciężkich zim. Kłusownictwo szerzyło się zastraszająco. Warunki okupacyjne nie sprzyjały wysiłkom leśników polskich w celu podtrzymania stanu ilościowego zwierzyny i ptactwa. W pierwszych latach po wojnie, jako smutna spuścizna pookupacyjna, dało się odczuć wyraźne obniżenie etyki i moralności myśliwskiej. W roku 1957 atmosferę łowiecką lasów spalskich poruszył powiew odnowy, powzięto decyzję szybszego i lepszego zorganizowania obwodu hodowlanego. Nastąpiły zmiany w administracji. Powołano 4 gajowych łowieckich, przydzielono broń. Wzrosły kary administracyjne za kłusownictwo. Wszystko to wpłynęło na skuteczność walki ze szkodnikami łowiectwa. Cały personel leśny w liczbie kilku leśniczych i kilkunastu gajowych został przeszkolony w zakresie łowiectwa. Sprowadzono do obwodu spalskiego różne gatunki zwierzyny łownej z innych województw, zwłaszcza zachodnich i sprowadzać się będzie jeszcze w okresie dalszych 5 lat. W łowisku spalskim (rozumianym jako pojęcie przyrodnicze terenów, na których mogą bytować różne gatunki zwierzyny łownej bez wyrządzania większych szkód) współżyją obok siebie zwierzęta takie, jak jelenie, daniele, zające, dziki, sarny, borsuki, kuny, króliki oraz jako osobliwość występują czarne bociany i cietrzewie. Hoduje się także dzikie kaczki i bażanty.

* * *

— Jesteśmy w pobliżu hodowli bażantów — poinformował nas leśniczy.

Przed nami roztacza się teren gęsto zabudowany wolierami, czyli pomieszczeniami dla hodowli bażantów.

— Bażanty zaczęliśmy sprowadzać przed rokiem z zagranicy — opowiada leśniczy — zwłaszcza z Jugosławii i Rumunii w ilości około 1.200 sztuk, jako materiał zarodowy, z czego w okresie pięciu lat spodziewamy się wyhodować około 20.000. Hodowla nasza ma charakter półzamknięty, to znaczy, że kury bażancie wypuszcza się na wolność, aby zniosły jajka nie tylko „służbowo", ale i „prywatnie". W celu zdobycia fachowych wiadomości, jeden z inżynierów Nadleśnictwa Spała, przebywał przez okres 3 miesięcy w Jugosławii. Bażanciarnia nasza jest jedną z największych w Polsce. Celowość hodowania bażantów w naszym kraju uzasadnia się obok korzyści myśliwskich, także faktem, że bażanty najskuteczniej zwalczają stonkę ziemniaczaną. Gospodarcze i społeczne znaczenie łowiectwa w gospodarce narodowej — mówi leśniczy w drodze powrotnej — jest niewątpliwe. Daje bowiem poza przyjemnością polowania, możliwość pozyskania dużej ilości zwierząt łownych, bo około 7 milionów kilogramów dziczyzny rocznie. Kilkadziesiąt tysięcy skór, futer oraz ponad 1.000 ton turzycy na filc.

* * *

Zbiórkę myśliwych wyznaczono na dużej polanie. Oglądamy swoje stanowiska myśliwskie. Nagonka już w pogotowiu. Wszyscy w białych sukmanach z drewnianymi kołatkami w dłoniach, tworzą długi szereg, który z dwu stron zamykają trębacze. Polowanie rozpoczęto odtrąbieniem hejnału — „początek polowania". Nagonka rusza. Monotonny klekot kołatek łączy się w oddali z głosem trąbek „wolniej pędzić". Moje stanowisko myśliwskie wypadło w kępie niskich świerków. Miałam ogromną tremę. Fuzja wydawała mi się cięższa, niż zwykle. Myśli były tak rozproszone, że była chwila, kiedy miałam ochotę uciec. Pomyślałam o zwierzu. Byle nie teraz, byle nie wyszedł tędy. Uświadomiłam sobie, że nie będę w stanie wycelować. W tej samej chwili posłyszałam tętent, oprzytomniałam natychmiast. Składam się w stronę linii. Rozpędzony dzik przesadza ją dwoma susami: Strzał! Jak to się stało nie wiem. Miałam ciemne płaty przed oczami. W głowie huczało. Dzik rwał przecież w stronę gąszczu. Nagle słyszę sygnał trąbki. Jest to hejnał „śmierć dzika". A więc padł! Myśliwi opuszczają stanowiska. Ojciec ściska mi dłoń. Czuję, że dopiero teraz zdałam moje myśliwskie świadectwo dojrzałości. Myśliwi stają półkolem w miejscu, gdzie padł mój dzik. Nie często zdarza się taki myśliwski chrzest. Senior wkłada złom do rany zwierza. Klęknąwszy na jednym kolanie położyłam prawą dłoń na „tuszy" zwierza, drugą trzymałam moją strzelbę. Powtarzałam przepisane tradycją słowa ślubowania. Wówczas senior polowania zanurzył wskazujący palec w ranie zwierza. Pomazał „farbą" moje czoło. Wszystkie trąbki zagrały hejnał: „pasowanie myśliwskie". Długo odbierałam gratulacje. Polowanie trwało dalej. Lecz teraz pamiątkowy złom dumnie zdobi wstążkę mojego kapelusza myśliwskiego.

Władysław Rymkiewicz

ROMANS KRÓLEWSKI

Rozdział I

Od wyjścia z wartowni porucznik Rylski szedł pierwszy, zaś o pół kroku za nim stąpał niepewnie pokojowiec królewski Jakub Tyzenhauz dystyngowany, wytworny, w jedwabiach.

Weszli do perystylu otoczonego kolumnami z różowego kieleckiego marmuru z pozłacanymi kapitelami. Dwóch wartowników w błękitno-żółtych atłasach stało u stóp biało-kamiennych schodów, załamujących się w paru kondygnacjach w ogromnej sieni ze złoceniami pod kopułą.

Tyzenhauz kroczył ostrożnie przez komnaty słynnego w Polsce i za granicą pałacu, w którym świętej pamięci marszałek nadworny Adam Kazanowski, przyjaciel obu królów, Władysława Czwartego i Jana Kazimierza, nagromadził był za życia dzieł sztuki, drogocennych kamieni i skarbów wszelakiego rodzaju jak sułtan Golkondy.

A teraz mieszkał tutaj drugi mąż pani Elżbiety zwanej cudną jejmością, primo voto Kazanowskiej, secundo voto Radziejowskiej, z szlachcica pan, znany z bezecnych postępków, przeciwko któremu wystąpił przed kilku laty w kole poselskim na zebraniu przedsejmowym pewien szlachcic ze skargą, że mu zniewolił córkę, i o którym opowiadano, że był pierwszym pod Piławcami, który na swoich chorągwiach wypisał haniebny napis „Fugite" i porwał za sobą szlachtę do ucieczki, a który pomimo to doszedł do wielkich godności koronnych, zaszczytów i bogactw.

— Zatem powiadasz waćpan — Tyzenhauz pochylił wąską piegowatą twarz z zaostrzoną linią szczęk nad ramieniem Rylskiego — że pan podkanclerzy Radziejowski...

— Jest w pałacu — dokończył porucznik. — Ale tym się waszmość nie turbuj. Możesz znaleźć dziesięć i więcej racji, dla których pragniesz odwiedzić panią. Zlecenie od królowej — zaczął wyliczać drwiącym tonem — wiadomość o zabawie dworskiej, zapytanie o zdrowie et caetera.

W drzwiach wionął stożkowaty kołpak i biały kwef ochmistrzyni.

— Teraz oddaję waszmość pana w opiekuńcze ręce pani Falibogowskiej — porucznik zaszeptał kpiąco.

— Niech będzie pochwalony — powiedział Tyzenhauz.

Ochmistrzyni zatrzymała się spozierając podejrzliwie spod opuszczonych do połowy powiek. Ze splecionych palców spływał różaniec z małych gałek bursztynu, — Na wieki wieków.

Przybliżył się w ukłonach. — Słówko od króla jegomości do pani podkanclerzyny! — przyciskał kapelusz do piersi, kłaniając się. Bawiło go zgorszenie jejmości.

Salomea Falibogowska zesznurowała usta. Na tłustym obliczu z podwójnym podbródkiem odmalował się afektowany wyraz obrażonego dostojeństwa. — Zaczekaj waćpan.

Odpływając z godnością zaszeleściła sztywnymi spódnicami i zamknęła za sobą starannie ciężkie rzeźbione podwoje do komnaty, w której pani wdzięcząc się do swego odbicia w lustrze przybierała na zmianę poważne i zalotne, dostojne i niefrasobliwe pozy.

Ująwszy palcami obu rąk jasnozielony aksamit spódnicy pani Elżbieta zakręciła sie tanecznie dokoła własnej osi. Brzęknęły cicho zwisające z uszu szmaragdowe trzęsidła. Zajrzawszy głęboko w mętną toń zwierciadła, zastygła w narcyzowatym zapatrzeniu. Znieruchomiały trzęsidła. W rozszerzonych oczach otwarły się szafirowe otchłanie, od których omdlewał zakochany król.

W lustrze ukazał się stożkowaty kołpak ochmistrzyni. — Imć Tyzenhauz! — oznajmiła Salomea Falibogowska i niby kokosz nakrywająca pisklęta przysiadła, wystraszona, w ukłonie, w gnieździe sutych, rozłożystych spódnic. Pani Elżbieta spojrzała zdziwiona. I z niechęcia.

Bowiem nieoczekiwanie zjawił się w komnacie pan Hieronim Radziejowski w szwedzkim stroju według panującej mody, w brązowej kurcie z naszyciami pasowymi, w pludrach i butach z szerokimi jak konwie cholewami.

— Niech zaczeka — niedbale rozkazała pani Elżbieta.

Ochmistrzyni dygnąwszy czmychnęła jak spłoszona kwoka.

Podparłszy się oburącz pod boki podkanclerzy z lekceważącą wyrozumiałością obserwował krygującą się przed zwierciadłem małżonkę.

— U nas pomiędzy wszystkimi stany zbytek się wielce rozmnożył, zwłaszcza u płci białogłowskiej — gęstym basem, z kwaśnosłodkim uśmiechem prawił na pół serio na pół żartem. — Pokazuje się to w kosztownych sukniach i ozdobach ciała, że prawie już wszystkie pieniądze Rzeczypospolitej na same stroje niewieście wydane być widzimy.

Bezmierne zdumienie wydłużyło delikatną twarz podkanclerzyny. — Mnie? Mnie to waszmość mówisz? — oburzona wykrzyknęła dziedziczka wielkiej fortuny.

Rubasznym śmiechem pokrył Hieronim Radziejowski popełnioną niezręczność, z głośnym cmoknięciem pocałował małżonkę w białą szyję.

Pani Elżbieta uwolniła się z obraźliwą niecierpliwością z mężowskich objęć. Podkanclerzy nadymając się jak indor kroczył energicznie za małżonką. Safianowe trzewiki pani Elżbiety drobiły bezszelestnie po woskowanych posadzkach. Zwisający z ciemnozielonego czepeczka welonik z lekkiej jak mgła tkaniny zawinął się z rozmachem dokoła szyi. — O, Boże! — trzęsidła znieruchomiały. — Dlaczego mnie waszmość prześladujesz?

— Kiedyż mi szukać dostępu do waćpani? — Hieronim Radziejowski mówił przez zaciśnięte zęby. — Wieczór i w nocy waćpani obwarowana fraucymerem, jak ostrokołem, przez który przebić się nie podobna. W dzień...

— Właśnie czeka imć Tyzenhauz — wionęła koronkową chusteczką w kierunku dalekiej galerii.

— Zaczeka — zimno stwierdził podkanclerzy. — Nikt jeszcze nie umarł od czekania.

— O, jak obcesowo! Czy względem dwóch pierwszych żon waszmość był równie grubiański?

Krótka szyja i mięsiste policzki pana Radziejowskiego zaczęły nabrzmiewać i zrobiły się purpurowe. — „Obcesowo"? „Grubiański"? — podkanclerzy tupnął. — Cóż to za śmiałość i niesprawiedliwość?

Pani Elżbieta wyswobodziła dłoń z uścisku męża. — Nie taję, że czasem zaczynam żałować, żem odtrąciła pana Lubomirskiego. Żem uległa namowie króla jegomości...

— Króla. Króla — powtarzał Hieronim Radziejowski dławiąc się złością. — Potrząsnął za dużą nieco w stosunku do tułowia głową. Obfite pukle czarnej peruki poruszyły się po bokach zaczerwienionej twarzy. — O, ja wiem, waćpani mnie poślubiła z namowy króla i tylko po to, żeby ratować odziedziczone po świętej pamięci marszałku nadwornym majętności. Z namowy króla — gubił się, zacietrzewiony, w argumentacji. — Rzecz to wiadoma, że wdowie bezdzietnej, biorącej po mężu znaczną fortunę z uszczerbkiem jego rodziny grożą tysiączne niebezpieczeństwa ze strony krewnych męża. Pozwy, zajazdy et caetera. Jam być miał tylko po to, żeby stać na straży bezpieczeństwa majątku i spokoju cudnej jejmości!

Z wyrazem bezmiernej pogardy obróciła się pani Elżbieta lekceważąco plecami do męża.

— Waćpani nazbyt harda i nieposłuszna — podkanclerzy dławił się oburzeniem. — Wbrew należnemu mi posłuszeństwu nie usunęłaś waćpani z bawialni konterfektu marszałka. Świadczy to o niewygasłych afektach jejmość pani ku jej pierwszemu małżonkowi.

Ująwszy fałdów sukni pani Elżbieta bez odpowiedzi pośpieszyła do komnat fraucymeru. Podkanclerzy podążał za żoną giętkim krokiem, który kołysał z lekka jego tułowiem.

Pani Elżbieta zatrzymała się na progu alkowy. Niebieskie źrenice rozszerzyły się z przerażenia. Zaczęła się cofać przed pochylonym i wycelowanym w nią czołem z wielką upiętą nisko peruką, opadającą płaszczykiem czarnych włosów na ramiona. — Nie! — krzyknęła.

— Waćpani winna mi posłuszeństwo.

— Nie! — zasłoniła się ręką.

— Cóż to, czym gorszy od pokojowej? — podkanclerzy sarkał rozdrażniony... — Że mi waćpani wzbraniasz przestąpić progu swej alkowy — pryskał śliną. — I łamiesz święty obowiązek posłuszeństwa małżeńskiego?

Zachwiała się i oparła o żłobiony spiralnie filarek, jeden z czterech podtrzymujących baldachim nad łożem. Tuż przy twarzy przesunęło się znienawidzone, kredowo blade oblicze z orlim nosem, dużymi ciemnymi płonącymi oczami, czarną krechą wąsów nad zmysłowymi ustami i kępką czarnej szwedki pod dolną wargą, zniewieściałe oblicze dworaka ze zmąconym pożądliwością spojrzeniem.

Ze zwierzęcą zręcznością wyśliznęła się spod sięgających po nią ramion.

Zadyszana ucieczką, z zaróżowionymi policzkami, pani Elżbieta zasiadła w krześle gdańskim w bawialni, na wprost dużego portretu pierwszego męża.

Podkanclerzy okrążył łukiem żonę. — Powiadają, że Bóg ozdobił niebo słońcem, a dom szlachecki cnotliwą żoną. Tak powiadają! — szyderczym tonem głosu naigrawał się ze starej maksymy. — Wszelako jeżeli jest w tym łut prawdy, tom ja łgarz! — zakrztusił się z irytacji, zaklaskał w ręce. — Czart! Sam do mnie!

Bezszelestnie zjawił się stary totumfacki Eliasz Czart-Jaworski, wysoki, chudy, o wypłowiałej twarzy, siwych zawiesistych wąsach, podgolonej czuprynie, białej jak mleko.

Podszedłszy do swego pana wysłuchał z posępną uwagą polecenia i wyszedł bez pośpiechu.

— Waszmość by śmiał? — pani Elżbieta zapytała przeciągłym szeptem, ze zgrozą. — Waszmość by śmiał? Ja bym waćpanu tego nigdy...

Hieronim Radziejowski podszedł kołyszącym się krokiem do żony, ujął ją z zimną wściekłością za ramiona, zmusił żeby się pochyliła i ugięła, i wepchnął brutalnie z zajadłym rozmachem z powrotem w fotel. — Waćpani winna mi posłuszeństwo! Posłuszeństwo — powtarzał to słowo raz po raz, jakby starając się wrazić to pojęcie w umysł nieposłusznej żony przez czysto mechaniczne powtarzanie. — Posłuszeństwo!

Czart-Jaworski wrócił z hajdukiem i stanął pomiędzy portretem marszałka nadwornego a panią Elżbietą, milczący i nieruchomy, w służalczej postawie, z przygarbionymi ramionami i pochyloną głową, czujny i uważny na każde skinienie swego pana i na każdy ruch jego małżonki.

— Czyń, com ci powiedział, błaźnie! — krzyknął podkanclerzy i założywszy ręce za plecy przeszedł się prędkim krokiem po bawialni.

Hajduk w atłasach żółtych i błękitnych, w barwach dworskich dawnego pana wszedł niezdarnie na krzesło, wyciągnął ramiona i wziął portret w sękate ręce.

Pani Elżbieta zacisnęła kurczowo palce na rzeźbionych gałkach fotela. — Boże Wszechmogący, pokaż sprawiedliwość nad łotrem, zbójem, wydziercą! — dyszała cicho skoncentrowaną nienawiścią.

Hajduk zdjął portret z haka. Obłoczek kurzu uniósł się nad ramą. Czart-Jaworski pomógł słudze zejść z krzesła i przytrzymał obraz, z którym hajduk oddalał się powoli ku drzwiom.

Za progiem stał pokojowiec królewski Tyzenhauz wyciągając szyję i wytrzeszczając oczy na podkanclerzego, na panią Elżbietę, na hajduka.

Pani Elżbieta zaciskała konwulsyjnie ręce na gałkach fotela.

— Waćpani winna mi posłuszeństwo — z natrętną zawziętością powtarzał Hieronim Radziejowski. — Waćpani winna mi posłuszeństwo!

Wyszedł trzasnąwszy drzwiami.

Sypał cichy śnieżek. Przez wysokie okna od Krakowskiego Przedmieścia zaglądało czarne żyłowanie drzew, konarów i gałęzi jakby pobielonych z wierzchu cienką warstwą wapna.

Zapadł wczesny zimowy wieczór.

Ochmistrzyni Salomea Falibogowska uchyliła drzwi i weszła ostrożnie do bawialni. Seledynowe światło księżyca musnęło biały kwef spływający spod stożkowatego kołpaka na ramiona. Śpiczasty cień poruszył się na kobiercu.

— Imć Tyzenhauz czeka od godziny — szepnęła poufnie,

— Bez zmian, jaśnie wielmożna mościa pani podkanclerzyno. Zawsze to samo. Wszedłszy na dwór królewski trzeba jak po brzytwach stąpać i uważać, aby się z bliska nie sparzyć, a z daleka nie zaziębić. Pełno tam intrygantów, dla których przyjaźń — nudna, szczerość — nieostrożna, wierność — uprzykrzona.

— I którzy rozrzucają pisemka ulotne, satyry, paszkwile i różne inne awiza szarpiące cześć i honor zarówno tych, przeciwko którym są skierowane, jako też ich małżonek i rodzin — kontynuowała podkanclerzyna, poirytowana. — Nie dość na tym, że z powodu złej sławy pana Radziejowskiego cierpię ujmę na honorze... Świat cały widzi, jak podkanclerzy traktuje swą małżonkę. Waszmość byłeś dzisiaj świadkiem obrazy, jaka mnie spotkała.

Pokojowiec królewski przeniósł wzrok na ścianę z dużym kwadratowym śladem po zdjętym portrecie.

— Ja się poskarżę królowi jegomości. Ja podam do nuncjatury prośbę o rozwód — wzburzonym głosem oświadczyła podkanclerzyna.

Tyzenhauz upuścił kapelusz, który upadł na podłogę u jego nóg.

— Na czas trwania procesu rozwodowego musiałaby jaśnie wielmożna pani przenieść się do klasztoru — zduszonym głosem wyrzekł schylając się po upuszczony kapelusz.

— Każ przynieść więcej światła — rozkazała pani. — I dołożyć do ognia.

Zakrzątnęła się służba.

Rude płomyki świec we wnoszonych kandelabrach pochyliły się od ruchu powietrza. Ogień zaczął buzować w kominie.

W migotliwych refleksach świateł błysnęły koronki i jedwabie francuskiego stroju.

Dworzanin królewski płynnym ruchem machnął ręką, w której trzymał kapelusz ozdobiony strusim piórem.

Pani Elżbieta podała gościowi dłoń do pocałowania. — Usiądź waszmość, proszę. Co słychać na królewskim dworze?

— A więc się przeniosę.

— Cóż wtedy pocznie król? — zapytał z dyskretną poufałością.

Żachnęła się podkanclerzyna. — U boku innej zapomni o Elżbiecie.

Tyzenhauz skubnął delikatnie pióro na kapeluszu. — Jaśnie wielmożna pani — mówił powoli, z namysłem — nie docenia siły, przywiązania i stałości uczuć króla jegomości.

— Och! — wionęła z powątpiewaniem białą dłonią.

„Skąd ci ludzie mają pieniądze?". Dwa epokowe pomysły. Impreza efef. Na Filtrowej, psze pani, jest woda... „Współczesność" czyli koszty filisterstwa. Kto utrzyma „Bristol"?

BOGUMIŁ BRECHTA

List z WARSZAWY

Gdy piszę te słowa trwa przedświąteczna Sodoma i Gomora. Z tej okazji wszyscy w sklepach oglądają się nawzajem i mówią o sobie, też nawzajem: „Skąd ci ludzie mają pieniądze?" Obecnie, żeby wydawać pieniądze istotnie trzeba mieć trochę przynajmniej pieniędzy, ale za to bardzo dużo czasu. W sklepach tłok. Ludzie zaś tak są zajęci wydawaniem pieniędzy, że nie mają czasu na zarabianie pieniędzy. Zamyka to koło absurdu, nie takiego wszakże znów abstrakcyjnego — co się okaże po świętach.

Do „Delikatesów" nie można się docisnąć — dlatego urządzono tam sprzedaż premiowaną. W CDT ludzie prują pod górę na poręczach (obchodzimy dziesięciolecie zainstalowania i podjęcia remontu **zarazem** ruchomych schodów). Przez głośniki dam ski głos woła: „Proszę państwa na pierwszym piętrze święty Mikołaj bezpłatnie rozdaje dzieciom podarki". Tłum wali na pierwsze piętro. W związku z tym głos z głośnika wyjaśnia „Nieporozumienie proszę państwa! Święty Mikołaj bezpłatnie rozdaje podarki zakupione uprzednio w CDT". W ten sposób radiowęzeł CDT skutecznie walczy z fideizmem wśród dzieci i dorosłych. Dzieci leczy z wiary w świętego Mikołaja, który taszczy z nieba gratisowe lalki i smoczki, a dorosłych z wiary w CDT, który zajmuje się darmowym rozdawnictwem.

Nie jest to jedyny wszakże przejaw jakiegokolwiek deizmu w handlu. Na przykład kupiono gdzieś za dewizy piękne automaty, które mogą sprzedawać same to i owo po wrzuceniu monety i naciśnięciu guziczka. Po co zaś kupiono — to właśnie sam Pan Bóg raczy wiedzieć. Na ulicę nie można ich wystawić, bo to zbyt cenna aparatura. Zaraz ją zniszczą. Więc stoją automaty w sklepach, gdzie można je pilnować. Ale też nie można wsadzić do nich zwykłych papierosów, ani też jakichś banalnych artykułów. Automat działa tylko na okrągłe ceny. U nas zaś wszystko kosztuje akurat nieokrągło. Smażą się więc w cieple automatowych neonów jakieś cukierczyny. Czasem z litości lub ciekawości ktoś wrzuci monetę. Wtedy robi się sensacja i przychodzi technik reperować mechanizm. Gdzie indziej specjalna ekspedientka stoi koło automatu i wydaje resztę. Jednym słowem te automaty są dosyć drogą utrzymanka naszego handlu i nie zamortyzują się nigdy.

Oto na jakie trudności natrafia XX-wieczna idea automatyzacji w mieście, gdzie im więcej jest automatów, tym więcej potrzeba ludzi do ich pilnowania.

Drugim poza automatami epokowym pomysłem były wybory „Miss i Mister Niemowlę", odbyte w Centralnym Domu Dziecka z udziałem władz, prasy, radia i telewizji, reprezentantów świata intelektualnego stolicy, a w pewnym minimalnym stopniu jeśli wyłączymy wyżej wymienionych — i samych niemowląt. Impreza miała wybitne walory dydaktyczne. Już za młodu przyspasabiała bowiem kandydatów na ludzi — do publicznych wystąpień, pretendowania do zaszczytnych tytułów i sławy. Tym komiczniej wypadły więc po koronacji miss głosy prasowe, w których niewyżyci w innych dziedzinach publicyści o polemicznym temperamencie i manii opozycji krytykowali ową imprezę... bo dzieci mogły się i nawzajem zarazić katarem, a na sali nie było pediatry. Pozwoliło to lojalistom dawać odpór — bo rzeczywiście katarem mogą zarazić się i ministrowie na sali obrad ONZ, co jest argumentem niedostatecznym dla podważania racji istnienia tej organizacji. W każdym razie była okazja do zawzię-

tych polemik, załatwiania ideowych porachunków i wykazywania się postawą pełną obywatelskiej troski. A to też wiele znaczy.

Niebawem wszakże wybory zaćmił Festiwal Festiwali Filmowych odbyty w kinie „Wars" na Rynku Nowego Miasta.

Samochody nie mieściły się na rzeczonym rynku. Salę kinową zalewała arcywytworna publiczność, która miała na tyle duże chody, by zdobyć karnety, zmieszana z przedmiejską żulią, która też miała chody, tylko inne. Jednemu protekcją minister, innemu bileter. Szanse równe.

Panie przybywały wystrojone, jakby były gwiazdami mającymi świecić w prawdziwym Cannes. Wnosiły na salę siebie i futra. Autosugestia gwiazdowska była o tyle udana, że nie było na sali konkurencji w postaci prawdziwych gwiazd. Impreza w ogóle była na „efef" i warto by częściej podobne spotkania towarzyskie urządzać biorąc do tego dowolne zestawy filmów, lub nawet obywając się bez wyświetlania filmów. Program mógłby obejmować wchodzenie na salę, wychodzenie z sali i wsiadanie do samochodów.

Drugim, poza FFF momentem integrującym Życie Towarzyskie Stolicy była sprawa wody. Tejże samej wody, której zabrakło, bo Wisła wyschła. Krążyło z tej okazji wiele głupich dowcipów o zamyśle importowania wody, przeprowadzenia rurociągów do Wisły z odbywającego się właśnie Zjazdu Związku Literatów itd. Nie one wszakże wyznaczały atmosferę stolicy w tych pamiętnych dniach. Atmosferę pełną powagi i dostojeństwa — że zaznaczę.

Kataklizm miał wielkie walory poznawcze. Człowiek dowiedział się, do czego służy woda: to w sferze poznawstwa przyrodniczego. Że np. bez wody nie jeżdżą tramwaje i nie grają kina, bo jakieś kinowe aparaty chłodzi woda. A i samo zawołanie: „W Wiśle zabrakło wody" brzmiące tak, jakby powiedzonko „Wisła się pali" — stało się ciałem.

Jeszcze większe możliwości poznawcze dawał brak wody w sferze dyscyplin humanistycznych. W tych ciężkich godzinach wyrastali Napoleonowie. Oto Dyrektor Kawiarń każe zamykać lokale — bo nie ma czym płukać filiżanek. Oczyma duszy widziałem bojową atmosferę w jego sztabie.

Moja kamienica wyruszyła gromadnie z butelkami w siatkach i teczkach na daleki Mokotów. Po powrocie z eskapady gruchnęła wieść, że u dozorczyni była bez przerwy woda w kranie, wtajemniczyła ona w to wszakże tylko wybranych, którzy napełniali u niej wiaderka płacąc po 10 zł za kubeł. Cóż to wybuchł za skandal — „W po wstaniu" — mówiono — „nie taka była postawa ludzi". „Teraz to się naród zrobił taki". „I takim cholerom to woda leci".

Rzeczywiście sprawiedliwość społeczna jest trudna do urzeczywistnienia nawet w resorcie wodociągów i kanalizacji.

Wydział Produkcji Wody (a jakże — jest taki szyld na gmachu przy ul. Czerniakowskiej) wydawał bojowe komunikaty, że już straż pożarna ze swymi pompami śpieszy na pomoc miastu. Ludzie nie wyglądający na to, by kiedykolwiek woda im była potrzebna czy to do picia, czy to do mycia się, gotowi byli dokonywać ablucji w oblodzonej Wiśle. Tak działało prawo przekory i prawo piękna rzeczy nieosiągalnych. Widziałem tłum ludzi, który zgromadził się wokół psa jedzącego na ulicy śnieg, krzyczących zazdrośnie: „Takiemu to dobrze!" Aż kundel pomykał przerażony myśląc, że zrobił coś złego.

Ludzie na ulicy zaczepiali się: „Na Filtrowej, psze pani jest woda". Mieszkańcy parterów głośnym wołaniem na schodach spraszali do siebie pozbawionych wody mieszkańców wyższych pięter i własnoręcznie napełniali im wiadra z minami, jakby własną piersią osłaniali ojczyznę przed ciosami wrogów. W ogóle warszawian powiązały jakieś niewidzialne nici społecznego solidaryzmu. Gdyby z puszczeniem wody jeszcze trochę poczekać zniknęłyby na tle jej braku wszystkie plagi społeczne.

Po dwu dniach trysnęła woda i Warszawa była uszczęśliwiona, jakby jej kto z kranu w kieszeń napluł. Niestety ludzie nie chcą być szczęśliwi z racji posiadania wody w kranie wtedy, kiedy bez awarii normalnie ona sobie sika.

I jeszcze a propos woda. We „Współczesności" nowa dyskusja na temat: „Aleksander Minkowski a kosmiczne sprawy literatury jako takiej i życia jako nie takiego". „Współczesność" dyskutuje zresztą tylko w takim aspekcie. W rozmowie utrwalonej drukiem brali udział Matuszewski, Minkowski, Grochowiak i Słojewski. Czyli mężowie tej już miary, że jak usiedli pogadać, to narodu nie można utrzymywać w nieświadomości, o czym było mówione. Podaję fragmenty dyskusji:

„Jest strumień jej niejednokrotnie półświadomych doznań, uczuć asocjacji. W trakcie jednej z moich podróży natrafiłem na miasteczko. Pisarz powinien być

próżnią idealną odizolowaną. Literatura nowoczesna jest literaturą obsesji. Co do mnie to pragnę opisywać. Sęk w tym, że bohaterowie. Obsesję corridy nadaje przede wszystkim pasja".

„Współczesność" już nie skandalizuje. „Współczesność" spokojnie bredzi. To upodobnienie do dorosłych czasopism kulturalnych jest następstwem faktu, że „Współczesność" tak długo waliła w bębny aż zauważono. I teraz już zauważona może spokojnie istnieć, wytworna i nikomu się nie narażająca.

Oczywiście filisterstwo ma swoje koszty. „Współczesność" przestała być ciekawa i nikt jej nie czyta. Nie ma to wszakże wpływu na nakład. Czytelnik przyzwyczajony jest do kupowania literackich czasopism, których nie czyta. Co najwyżej wzdycha: przedtem kupowałem „Przegląd" i „Kulturę" a teraz muszę jeszcze „Współczesność" — dobre kiedyś były czasy — tańsze. Uczesana z przedziałkiem „Współczesność" bzyka jeszcze wokół „Przekroju", ale już w sposób ulizany. Pisze tedy, że „Przekrój" się czyta, ale tylko mechanicznie, bez intelektualnej percepcji tekstu, bowiem ambicją redakcji jest takie jego przerzucie, aby czytelnik nie mógł już myśleć. Tedy „Przekrój" znajduje się w sytuacji odwrotnej niż „Współczesność", której się nie czyta, ale nad którą się duma. Widzę, że sam uległem tej rozrywce dla półgłupków. Pół — podkreślam, żeby nie obrazić ani kogo ani siebie.

Silnych wrażeń intelektualnych dostarcza więc w stolicy dalej niezmordowana stara generacja. Pan prof. dyr. Świderski sprał był w lokalu SPATiF po buzi pana prof. dr Kotta. Oczywiście trudno to spotkanie towarzyskie nazwać typowym, bo potrafiłbym ułożyć o wiele większą listę ludzi, nawet wybitnych, którzy nie zbili po buzi innych ludzi.

Jednym słowem w stolicy jak zwykle nic nowego. Najelegantszy warszawski bal sylwestrowy urządzony będzie w Smokowcu. W lokalach przedkarnawałowe puchy. Taki np. „Bristol" zwykle wypełniony, obecnie jest pusty. Dyrekcja radzi sobie w ten sposób, że im mniej jest publiczności, tym wyższe są ceny. W ten sposób nie spada marża zarobkowa, jako że solidarnie rozkłada ją się na taką ilość gości, jaka przyszła. Topnieje na tym tle nadal liczba gości i wszyscy czekają, kto też będzie tym ostatnim, który utrzyma cały hotel.

Jednym słowem Warszawa jest taką efektowną, a afektowaną kobietą, która na pierwszy rzut oka i na kilka dni wydaje się być barwniejszą i ciekawszą od innych, a przy dłuższym pożyciu okazuje się, iż jest taka sama jak wszystkie inne. Tyle, że po dłuższym pożyciu jest zazwyczaj już za późno...

KONKURS II DLA KINOMANÓW

Nasz rysownik przedstawił na załączonym rysunku — 11 plakatów filmowych. Są to reklamy filmów bardzo znanych, wyświetlanych w Polsce po wojnie, a przede wszystkim — w ostatnich latach.

Uważni czytelnicy spostrzegą jednak z pewnością, że na plakatach są pewne niedokładności. Mianowicie — w tytule każdego filmu BRAK JEDNEGO SŁOWA.

ZADANIE KONKURSOWE polega na znalezieniu brakujących słów i wpisaniu ich w miejsce kropek na rysunku.

PIERWSZE LITERY odgadniętych wyrazów DADZĄ ROZWIĄZANIE, które wpisujemy na kuponie konkursowym. Nie należy podawać na kuponie odszukanych słów, WYSTARCZY OSTATECZNE ROZWIĄZANIE!

Kupon należy wysłać do dnia 5 stycznia.

Do wygrania — jak poprzednio — BIBLIOTECZKA, ZŁOŻONA Z 10 KSIĄŻEK — innych, niż wygrane w pozostałych konkursach...

KONKURS dla kinomanów

Rozwiązanie

.....

.....

(imię i nazwisko)

.....

.....

(adres)

KONKURS II DLA KINOMANÓW

KAZIMIERZ DZIEWANOWSKI

Historia „ambasadora" w butelce

W roku 1940 została zbudowana w Stanach Zjednoczonych „Krypta Cywilizacji" Umieszcza się tu przedmioty typowe dla amerykańskiej cywilizacji dwudziestego wieku. Krypta przeznaczona jest dla uczonych historyków z roku 8113 (dlaczego właśnie 8113?). Włożono do niej, między innymi, hermetycznie zamkniętą, zalaną dookoła szkłem i zamkniętą w cylindrze z nierdzewnej stali — butelkę Coca-Cola. Ów płyn jest bowiem czymś, bez czego przyszły badacz nie będzie mógł wyrobić sobie pojęcia o amerykańskiej cywilizacji.

Jeden z wysokich urzędników koncernu Coca-Cola, zawołał niedawno, podczas pewnego, patriotycznego zebrania: „A teraz, panowie i panie: coś równie amerykańskiego jak sama Coca-Cola — Amerykańska Deklaracja Niepodległości!"

Oto historia i trochę szczegółów o tym napoju orzeźwiającym, który przez jednych traktowany jest jako ambasador amerykańskiej cywilizacji, a przez drugich — jako uosobienie krwiożerczych sił imperializmu, choć w rzeczywistości jest on przecież tylko napojem orzeźwiającym, składającym się z...

LEMONIADA, KTÓRA JEST TAJEMNICĄ

Otóż to. Niewielu ludzi wie naprawdę, z czego ten napój się składa. Stanowi to zazdrośnie przechowywaną tajemnicę produkcji. I o ile tajemnice bomby atomowej przedostały się jednak z pieczołowicie strzeżonych fortów Los Alamos, o tyle tajemnica Coca-Coli nigdy nie wydostała się poza obręb zakładów w Atlanta, choć możecie mi wierzyć, że zamachów na tę tajemnicę było co najmniej tyle, co na bombę atomową, jeśli nie więcej.

Poddawano ją dziesiątkom ekspertyz lekarskich i chemicznych. Biedziły się nad tą sprawą sądy, a nawet rządy, jak na przykład rząd francuski, do którego wpłynęły skargi na rzekomą szkodliwość tego napoju. Ale wszystko na próżno. Dyskusja we Francji zakończyła się wreszcie orzeczeniem Wydziału Farmakologicznego Uniwersytetu Sorbońskiego głoszącym, że:

„Coca-Cola jest ni mniej ni więcej, tylko zwykłą lemoniadą".

Ale czy tak jest rzeczywiście? Czy zwykła lemoniada mogłaby do tego stopnia podbić świat, stać się taką potęgą, a nawet... przedmiotem sporów ideologicznych? Któż widział, żeby toczono spory ideologiczne o zwykłą lemoniadę?

Statystyka twierdzi, że w amerykańskich stacjach benzynowych (tych kolorowych, wesołych stacjach błyszczących w nocy neonami, rozsianych przy wszystkich szosach co dwa-trzy kilometry) sprzedaje się więcej „Coca-Coli" niż benzyny.

Cóż w niej więc jest? Wiadomo, że jest w niej cukier, karmel, kofeina, acidum phosphoricum oraz mieszanina składająca się z trzech części wywaru z liści koka i jednej części wywaru z orzeszków kola. Prócz tego chemicy, którzy próbowali zgłębić tajemnice składników tego napoju twierdzą, że jest w nim także cynamon, wanilia, gliceryna, lawenda, guarana, sok cytrynowy, mieszanina innych soków cytrusowych i wreszcie... jest 7X. Cóż to jest? Tego właśnie nikt nie wie. Nikt — oczywiście z wyjątkiem kilku ludzi z władz koncernu.

Doktor Orville E. May, człowiek, który strzeże tajemniczej formuły tajemniczego składnika 7X, powiada:

„Nie można wziąć mieszaniny olejków cytrusowych, zbadać jej i orzec, jakie składniki są w niej obecne, a jakie nie. Nie odpowie na to ani chromatografia, ani spektralna analiza infraczerwona. A kiedy zdacie sobie sprawę, że sam sok cytrynowy ma 26 składników i że inne olejki cytrusowe są równie skomplikowane — zrozumiecie, w jakie kłopoty wpadają postronni chemicy, którzy chcą zbadać zawartość naszego produktu".

Wiadomo tylko, że — wbrew nazwie — w napoju nie ma prawie wcale koki i koli. Kiedyś jednak było inaczej.

CZTERY TYSIĄCE DOLARÓW ZA BUTELKĘ

W roku 1913 Towarzystwo „Coca-Cola" ogłosiło w jednym z pism medycznych, że wypłaci 500 dolarów nagrody temu, kto nadeśle najbardziej zbliżoną do prawdy analizę ilościową zawartości napoju. Dziś nie wiadomo nawet, czy znalazł się ktoś, kto by to potrafił. Nagrody w każdym razie nie przyznano.

W Stanach Zjednoczonych istnieje kilkanaście tysięcy rozlewni napoju. Na całym świecie istnieje ich kilkadziesiąt tysięcy. Były mistrz świata wszechwag Max Schmeling, człowiek, który znokautował Joe Louisa, ma w Hamburgu rozlewnię Coca-Coli. Ma ją także maharadża Patiali. Sześć rozlewni istnieje w Egipcie, cztery w Iranie, cztery w Iraku, cztery w Maroku, dwie na Cyprze, po jednej w Libanie, w Sudanie i Abisynii. Wyliczyliśmy tu przykładowo kilka krajów o gorącym klimacie, w tym większość krajów muzułmańskich.

Z krajami muzułmańskimi miała Coca-Cola zresztą specjalne trudności, o których opowiemy dalej. Wszystko to jednak świadczy, że brunatny napój opanował wielką część świata. Nie ma takiego kraju w Afryce, gdzieby nie sprzedawano Coca-Coli. Pewnego razu, pewien podróżnik jadący przez Saharę, zapytał swego przewodnika:

—Kiedy wreszcie wyjedziemy spoza zasięgu cywilizacji?

— Już wyjechaliśmy, sir! — odparł Arab.

— Ale kiedy wyjedziemy z niej tak daleko, aby już nie było Coca-Coli?

— Nigdy! — odparł przewodnik.

Nie ma takiego kraju w Azji (z wyjątkiem Chin, północnego Wietnamu i północnej Korei), gdzie by nie sprzedawano Coca-Coli. Nie ma też takiego kraju w zachodniej Europie. Nawet Dania, w której znani i szanowani producenci piwa długo bronili się przed inwazją „brązowej lemoniady", zna dzisiaj jej dziwny, mydlano-słodki smak.

Kiedy w roku 1942 wojska alianckie wylądowały w Afryce północnej, na specjalny rozkaz generała Eisenhowera, sprowadzono tam natychmiast osiem rozlewni Coca-Coli. Kiedy w Chinach znalazły się oddziały USA walczące przeciw Japończykom po stronie CzangKai-szeka, sprowadzono do Indii rozlewnię Coca-Coli, rozłożono ją na części, przewieziono samolotami przez Himalaje i zmontowano w Chinach. Kiedy flota amerykańska szykowała się do inwazji na Japonię (inwazji, do której nie doszło, ponieważ Japonia skapitulowała) — na pokładzie jej statków czekało sześć rozlewni Coca, gotowych do zmontowania na wyspach japońskich i do zasilenia napojem orzeźwiającym walczących wojsk. Coca była dla armii USA równie ważna, jak benzyna i amunicja.

Pewien porucznik marynarki, podczas inwazji na Sycylię, pozwolił pewnemu majtkowi dotknąć butelki Coca, którą trzymał schowaną w szafie. Przez cały czas porucznik trzymał w ręku odbezpieczony pistolet. Później szafę znów zamknął. Pierwsza butelka Coca, która dotarła na przyczółek mostowy pod Anzio, została sprawiedliwie podzielona pomiędzy 19 zdyscyplinowanych żołnierzy. W jednej tylko lagunie przy wyspach Society Islands, tubylcy znaleźli po zakończeniu działań wojennych trzydzieści tysięcy pustych butelek po Coca-Coli. Podczas dramatycznych walk na Wyspach Salomona, cena jednej butelki tego napoju osiągała cyfrę pięciu dolarów. W Casablance sprzedawano ją za dziesięć dolarów, a na wysuniętych posterunkach na Wyspach Aleuckich, nawet za czterdzieści.

Pewien sierżant artylerii na froncie włoskim otrzymał z domu w roku 1944 dwie butelki Coca. Wypił jedną, zaś drugą wystawił na licytację. Była to właściwie nie licytacja, a składka. Każdy dawał tyle, ile mógł. Wygrać miał ten, kto dał najwięcej. Zebrano w krótkim czasie cztery tysiące dolarów i przeznaczono na fundusz pomocy dzieciom kolegów, którzy padli na froncie. Podobno żołnierz, który wygrał w końcu ową butelkę był zbyt zemocjonowany, by móc ją wypić... Kiedy wiadomość o licytacji dotarła do zarządu Towarzystwa Coca-Cola, przekazało ono na ów fundusz dwa tysiące dolarów.

CZTERY SŁONIE PANA CANDLERA

Pierwszym człowiekiem, który rozpoczął produkcję Coca-Coli, był John Styth Pemberton. Zajmował się on aptekarstwem, szczególnie zaś sporządzaniem rozmaitych uniwersalnych leków. Produkował ją w formie syropu i sprzedawał aptekom w butelkach po piwie. W aptekach rozcieńczano syrop wodą i sprzedawano jako środek przeciw bólowi głowy. W pierwszym roku produkcji, Pemberton sprzedał zaledwie dwadzieścia pięć galonów swego specyfiku. Nie zrobiwszy na nim majątku, Pemberton sprzedał receptę i wszelkie prawa niejakiemu Asa Griggs Candlerowi za parę tysięcy dolarów. Candler był aptekarzem w Atlancie i cierpiał na chroniczne bóle głowy. Jednak bóle, jak się okazało, nie odebrały mu zdolności do robienia znakomitych interesów. Był on człowiekiem niesłychanie wyrachowanym, skąpym i co się nazywa „sztywnym". Słynął z tego, że nawet do własnego siostrzeńca pisał listy zaczynające się od słów „Drogi Panie!".

W roku 1892 zostało założone Towarzystwo Coca-Cola. Wypuszczono pierwsze akcje, początkowo w niewielkiej ilości. W tym czasie przestano już podkreślać farmaceutyczne właściwości Coca-Coli, a zaczęto reklamować ją jako przyjemny napój o odświeżających właściwościach. Później zmniejszono znacznie zawartość składników, które dały jej nazwę.

W roku 1906 w Atlancie powstał pierwszy, siedemnastopiętrowy drapacz chmur. Należał on do Coca-Cola Company. Pięćdziesiąt jeden procent akcji Towarzystwa należało do Candlera, który przecinał wszelkie dyskusje krótkim: „Głosuję pięćdziesięciu jeden procentami przeciwko!" Miał on kilku synów, z których jeden wsławił się później założeniem w Atlancie własnego ogrodu zoologicznego, w którym były cztery słonie noszące imiona: Coca, Cola, Delicious i Refreshing, co znaczy — Coca, Cola Wyśmienita i Odświeżająca...

Candler umarł w roku 1929. W tym roku czysty roczny zysk Towarzystwa osiągnął sumę 25 milionów dolarów.

* * *

(W NASTĘPNYM NUMERZE: DLACZEGO PRACOWNICY COCA-COLA ZJADALI GLISTY, MUCHY I PAJĄKI; WIELKA WOJNA Z „PEPSI-COLĄ"; ILE ISTNIEJE MOŻLIWOŚCI PRZEKRĘCENIA NAZWY „COCA - COLA"; BRUNATNY NAPÓJ I PRZEPISY KORANU I WIELE INNYCH CIEKAWYCH INFORMACJI).

Fot. K. Jarochowski

Sloganem reklamowym Towarzystwa jest proste: „Pijcie Coca-Colę. Brzmi to:

— po angielsku: drink Coca-Cola!
— po hiszpańsku beba Coca-Cola!
— po francusku: buvez Coca-Cola!
— po włosku: bevete Coca-Cola!
— po niemiecku: trink Coca-Cola!
— po fińsku: juo Coca-Cola!
— po szwedzku: drick Coca-Cola!
— po norwesku: drikk Coca-Cola!
— po portugalsku: bebam Coca-Cola!
— w większości krajów Południowej Ameryki: tome Coca-Cola!
— w Syjamie: duem Coca-Cola!

We Francji, po słowach „buvez Coca-Cola" dodawane jest obecnie: „glacé" (mrożoną), ponieważ Francuzi mieli zwyczaj dopisywania ołówkiem różnych uwag, w rodzaju: „dlaczego?"

Rzecz o TBC

(Dokończenie ze str. 4)

gicznie łatwa do rozszyfrowania.

Chory chce zapomnieć o swej chorobie. Nic go nie boli, czuje się dobrze, nie kaszle, nie gorączkuje, a więc... Przestaje odwiedzać poradnię, twierdzi, że jest zdrowy, że się wyleczył, wmawia to wszystkim dookoła, aż wreszcie sam w to zaczyna wierzyć. Ze stanu błogiej beztroski wyrywa go często nagłe, a niespodziewane pogorszenie. Potem pacjent z reguły mądrzeje, ale szkody wyrządzone w organizmie w okresie „zdrowej" beztroski nie zawsze można naprawić.

RECEPTA NA BEZTROSKĘ

Jedynym lekarstwem na niepoważny stosunek chorego do swej choroby może być wiedza. Tak jest. Wiedza o swej chorobie. Zwłaszcza w wypadku „bezbolesnej" gruźlicy.

Jeśli człowiekowi, który całe życie cierpiał na ciężką wadę serca uda się w tempie sprinterskich wbiec na czwarte piętro — może się uznać za cudownie wyleczonego. Natomiast chory (nawet ciężko) na gruźlicę na owe czwarte piętro wbiegnie i to nie raz bez specjalnie doraźnych skutków. Jednak każdy taki wysiłek poczyni w jego organizmie nieodwracalne szkody. I wreszcie któraś z owych sprinterskich wypraw może być ostatnią.

To oczywiście przykład. O co jednak chodzi? Wydaje się, że tego typu pogadanki z chorymi na temat gruźlicy jakie prowadzi na przykład w sanatorium w Tuszynku dr Kolbow czy dr Malinowska w szpitalu w Łowiczu — stanowią równie ważny element w walce o zdrowie pacjenta jak streptomycyna czy rimifon.

Byłoby nieźle gdyby sprawa owych pogadanek z pacjentami otrzymała jakiś oficjalny placet władz służby zdrowia. Byłoby również nieźle gdyby Państwowy Zakład Wydawnictw Lekarskich zainteresował któregoś z lekarzy ftyzjatrów sprawą napisania popularnej broszury o gruźlicy.

Zainteresowani dowiedzieliby się na przykład, że świeży rzut gruźlicy swoimi objawami przypomina „toczka w toczkę" naszą poczciwą grypę. Zainteresowani mogliby się wreszcie dowiedzieć, że gruźlica nie jest chorobą dziedziczną, jak się szczególnie na wsi sądzi; że w wypadku poważnego traktowania choroby (częsta kontrola, leki przeciwgruźlicze) można nie dopuścić do zarażenia innych członków rodziny.

Publikacja taka jest na pewno potrzebna. Potrzebna jak wszystko, co przyczynia się do spadku krzywej na wykresie oznaczonym cyferkami TBC.

JERZY WILMAŃSKI.

III KONKURS

CZY ZNACIE ŁÓDŹ?

Czy znacie Łódź? Znamy, znamy — odpowie zgodny chór naszych Czytelników. A jednak w praktyce, gdy zapytać niejednego rodowitego łodzianina, gdzie leży ulica Kosalińska, lub co gorsze — kto prowadził w Łodzi pierwszy teatr po wojnie — odpowiedzią będzie wzruszenie ramion.

Nie, tak trudnych pytań nie będziemy zadawać w naszym konkursie. Chcemy sprawdzić tylko z grubsza, czy nasi czytelnicy znają swoje miasto i jego sprawy.

Poniżej zamieszczamy 10 ZDAŃ, z których TYLKO CZĘŚĆ JEST PRAWDZIWA. Zadaniem uczestnika konkursu będzie wskazanie, KTÓRE Z TYCH ZDAŃ ODPOWIADAJĄ PRAWDZIE. Uwaga jednak — zastanówcie się dobrze nad odpowiedzią, niektóre zdania są PODCHWYTLIWE!

1. Ulica Przeskok została przemianowana po wojnie na ulicę Tuwima.
2. Nowy podział administracyjny Łodzi przewiduje pięć dzielnic — zamiast dawnych siedmiu.
3. „06" — to numer telefonu łódzkiej zegarynki.
4. Z Dworca Fabrycznego na Dworzec Kaliski jedzie się pociągiem około 40 minut.
5. Teatr Nowy obchodził w bieżącym miesiącu pięciolecie swego istnienia.
6. Władysław Reymont napisał powieść, której akcja rozgrywa się w Łodzi.
7. Tramwaj nr 6, jadąc od pl. Wolności do pl. Niepodległości — zatrzymuje się na 11 przystankach.
8. Muzeum Sztuki mieści się przy ul. Więckowskiego.
9. W 1959 roku piłkarze ŁKS zajęli 9 miejsce w tabeli rozgrywek I ligi.
10. Telewizja Łódzka nadaje stałą audycję p.t. „Wszystkie dni tygodnia".

Kupon konkursowy wypełniamy w ten sposób, że obok numeru zdania wpisujemy słownie TAK (jeśli zdanie jest prawdziwe), lub NIE (jeśli zdanie nie odpowiada prawdzie).

Termin nadsyłania rozwiązań i sposób (dowolna ilość kuponów w jednej kopercie) — jak w pozostałych konkursach świątecznych. Podobnie nagroda — biblioteczka złożona z 10 CENNYCH KSIĄŻEK.

CZY ZNACIE ŁÓDŹ?

1	6
2	7
3	8
4	9
5	10

imię i nazwisko

Adres.....

CHOINKA W TALIEN

czyli toast za tych co w kraju...

WIESŁAW GÓRECKI

Jest już koniec grudnia. Za kilka dni święta, a potem nowy rok. Już pięć miesięcy tułamy się po morzach od portu do portu. Od dawna też z powodu złych warunków atmosferycznych nie mieliśmy połączenia z krajem. Obecnie znajdujemy się na chińskich wodach terytorialnych. Międzynarodowa konwencja zabrania używania statkowego radiotelefonu w czasie postoju w porcie lub pobytu na obcych wodach terytorialnych. Tak więc możemy nie liczyć przed nowym rokiem na żadne połączenie. Listy także otrzymamy nieprędko. Dopiero w Tientsinie. Nastroje są więc podobne wybuchowej mieszance, o której wiadomo, że musi wybuchnąć. Nie wiadomo jeszcze tylko kiedy i z jakiego powodu.

Po kilkudniowym wyczekiwaniu, wśród trwającego jeszcze sztormu wpływamy do portu Talien. Jest duży, bardzo nowoczesny i świetnie wyposażony, położony niemal w centrum miasta.

DALNYJ ZNACZY NAJDALSZY...

Dziwne, ciekawe i bardzo charakterystyczne dla niedawnej historii Chin są dzieje tego miasta. W 1896 roku południowo-zachodnia część półwyspu Liaotung, gdzie leży obecny Talien, zagrabiona została przez Rosję carską, która przystąpiła tu do budowy tzw. Kolei Mandżurskiej. Z tego okresu datuje się znaczny rozwój miasta, zwanego wtedy z rosyjska Dalnyj (Najdalsze). Wtedy też Rosjanie wybudowali tu słynną dziś na cały świat potężną twierdzę morską — Port Artur, położoną niespełna trzy kilometry od miasta. Nie darmo jednak mniej powściągliwi dziennikarze nazywali Mandżurię „placem walki kogutów".

Brytyjczycy zachęcili Japonię do zbrojnego najazdu na Mandżurię, spodziewając się, że zajęte wzajemnym konfliktem — Rosja i Japonia nie będą miały sił i czasu na zainteresowanie się Indiami, z którymi borykali się właśnie Anglicy. Wiedzieli przy tym doskonale, że Tokio nie mając odpowiednich kapitałów nie może należycie wykorzystać ewentualnej zdobyczy bez korzystnego udziału londyńskiej City. Przymierze anglo-japońskie doszło do skutku w 1902 roku. Marszałek polny lord Kitchener powiedział wtedy aluzyjnie o Mandżurii, która powinna być własnością Japonii. Jak się brytyjskie obliczenia skończyły, powszechnie wiadomo. Znana jest słynna klęska Rosji w wojnie z Japonią w roku 1905. Miasto przeszło w ręce japońskie i nazywało się teraz Dairen. Potem przewalało się tu jeszcze wiele burz dziejowych—rewolucja Sun-Jat-Sena w roku 1911, próby utworzenia z tego terytorium bazy wypadowej przeciwko rewolucji rosyjskiej.

Po rewolucji, rząd radziecki zrzekł się swych praw w Chinach. Alianci jednak potwierdzili władzę carskiego generała Horwata, który nadal miał w swych rękach kolej mandżurską i zarządzał przyległą do kolei strefą werbując Rosjan z terytorium chińskiego do „białych" armii kontrrewolucyjnych. Stąd właśnie wyruszyła przeciw władzy radzieckiej krwawa armia generała Siemionowa wspierana brytyjską, francuską i japońską bronią i pieniędzmi przy pomocy właśnie kolei mandżurskiej, którą uruchomiły wtedy specjalnie Stany Zjednoczone. Wszystko to działo się pod pozorem walki z Niemcami. (W fabrykowaniu tego typu tłumaczeń specjalizował się „New York Times". Warto jako ciekawostkę wspomnieć, że demaskowaniem tej oszukańczej propagandy zajmowali się wówczas dwaj młodzi dziennikarze amerykańscy... Walter Lippmann i Charles Merz... Nie do wiary a jednak...)

MARIONETKOWE MANDŻUKUO

Potem w 1931 roku znowu wybuchła wojna chińsko-japońska. Zajęty zwalczaniem komunizmu Czang-Kaiszek nie przyszedł z pomocą Mandżurii. Japonia utworzyła tu marionetkowe Cesarstwo Mandżukuo. Po japońskim podboju Mandżurii jej mieszkańcy wciągnięci zostali w gospodarkę wojenną najeźdźcy. Budowali linie kolejowe o znaczeniu strategicznym w projektowanej „Kampanii rosyjskiej", wznosili fabryki broni, uprawiali zboże ale nie korzystali z jego plonów, gdyż było ono potrzebniejsze w japońskich magazynach wojennych. Eksport soi ściągał do Tokio cenne waluty zagraniczne. Wojenny wysiłek Japonii sprawił, że Mandżuria stała się najlepiej uprzemysłowioną częścią Chin. Jednak ludność biedniejsza była niż kiedykolwiek. Wielu uciekało w góry, tworząc partyzantkę. Wreszcie w roku 1945 przyszło tu wyzwolenie przyniesione przez wojska radzieckie, a wkrótce potem tereny te opanowane zostały przez Chińską Armię Ludowo-Wyzwoleńczą.

PANIE! ONI BĘDĄ NAJLEPSI.

Dziś Talien, bo taka właśnie jest prawdziwa chińska nazwa, liczy blisko milion mieszkańców. Jak już wspomniałem jest nowoczesnym miastem, czystym, ruchliwym. Architektura w ogromnej większości europejska, co w Chinach jest raczej rzadkie. Domy prawie wyłącznie piętrowe i murowane. Styl architektury podobny do tego, jaki spotkać można w budownictwie polskim drugiej połowy lat trzydziestych. Po ulicach kursują tramwaje. Sklepy są świetnie zaopatrzone, szczególnie w artykuły przemysłowe. Można zobaczyć tu radio, aparaty fotograficzne i wiele innych wyrobów przemysłu elektrycznego i precyzyjnego produkcji chińskiej. A trzeba wiedzieć, że wśród produkcji chińskiej rzadko zdarzają się „braki". Chińska dokładność, cierpliwość, solidność są nie od dziś przysłowiowe.

Towarzysze chińscy zaprosili nas do zwiedzenia stoczni okrętowej.

Dmie bardzo silny wiatr, siarczysty mróz daje nam się mocno we znaki mimo ciepłego ubrania i grubych kożuchów. Stocznia zajmuje ogromny obszar i dzieli się na remontową oraz na oddziały produkujące nowe jednostki.

W dokach stoczni remontowej dostrzegamy statki budowane w Polsce. Pływają teraz pod banderą chińską i w radzieckiej flocie północnej. Przechodzą tu remont. Pytamy o opinię na temat polskich statków. Jest pochlebna, pełna komplementów.

Wyposażenie stoczni jest arcynowoczesne, choć coraz więcej maszyn pochodzi z produkcji krajowej. Przeciętny wiek załogi nie sięga trzydziestu lat. Przemysł okrętowy w Chinach jest bardzo młody.

Zwiedzamy największy z budowanych dotąd w chińskich stoczniach, stojący w doku wyposażeniowym statek o nośności 12 tysięcy 600 DWT. Tuż za naszym kapitanem i pierwszym mechanikiem idzie dwóch inżynierów chińskich, świetnie mówiących po angielsku i z wielką uwagą notują wszystkie uwagi gości. Od czasu do czasu udzielają wyjaśnień lub sami o coś pytają, radzą się.

Ani nasz „stary", ani pierwszy oficer i mechanik, nie są skorzy do pochwał. Są doświadczonymi marynarzami i niełatwo im zaimponować. W cudzym statku w lot wykryją każdą wadę, słabość. Ale tu niełatwo jest krytykować. Z uwag, jakie szeptem między sobą wymieniają, szybko orientuję się, że są zaszokowani. Piękną linią kadłuba, doskonałym projektem, nowoczesnymi urządzeniami, mądrym, wygodnym rozkładem pomieszczeń, wyposażeniem i rozmieszczeniem ładowni a nade wszystko solidnym, dokładnym wykończeniem każdego szczegółu.

— Panie — nasz kapitan w każdym zdaniu musi użyć tego słowa co najmniej kilkanaście razy — jak tak dalej pójdzie to oni będą wkrótce należeli do najlepszych producentów. To już dziś — panie — robota na poziomie Burmajstra...

Zachwyt „naszych" budzi wyposażenie statku w przyrządy nawigacyjne, także chińskiej produkcji.

— Spójrz pan na ten namiernik, mówi „pierwszy"— to przecież lepsze od zeissowskich... a tamte były dotąd jedyne na świecie...

To nie jest propaganda, tak mówią fachowcy, starzy fachowcy, nie skorzy do pochwał...

MALARZE I POECI... CZYLI PROPAGANDA INACZEJ.

Szare domy Talienu pokryte są pstrokatymi malowidłami. Na złotym cesarskim smoku siedzi dziewczyna z workiem sztucznych nawozów — tłumacz objaśnia mi wiszący obok napis: „Dobre nawożenie pola prowadzi do potęgi".

Obok, roześmiany metalowiec pędzący na sputniku, ucieka przed nim — symbolizujący amerykański imperializm — tygrys. Sputnik jest w Chinach symbolem wszystkiego, co wyższe ponad przeciętność, co potężne. A Chiny pragną być silne, potężne. Dość mają obcego panowania, wyzysku. Powie wam to każdy Chińczyk.

W Talienie nie ma etatowych „plakaciarzy". Ta kolorowa ulica to po prostu dzieło samych mieszkańców miasta. Środki, jakimi posługuje się tutaj propaganda, są bardzo zaskakujące i ciekawe. Konduktor wierszem zaprasza pasażerów do zajmowania miejsc w tramwaju, straganiarz wierszem zachwala ryżowe placki, a w ulicznej czytelni dziewczyna wierszem robi prasówkę na temat ostatnich wydarzeń międzynarodowych. W tych dziwnych wierszach, które najczęściej powstają po to, aby po chwili sam autor nie umiał ich powtórzyć — podobnie jak w malowidłach — z pojęciami XX wieku splatają się cesarskie rekwizyty, cała zawiła symbolika epoki Mingów czy Thanów, stare przenośnie, aforyzmy, legendy i przypowieści. Dwoma, trzema słowami dodanymi od siebie do tych wszystkich smoków, rozbójników i dziewcząt na księżycu — potrafią autorzy nadać wierszom nowy sens. Miliony, dosłownie miliony wierszy jakie codziennie powstają na terenie całych Chin, to po prostu, po pierwsze, jeden ze sposobów powszechnej nauki pisania, a, po drugie, masowy język propagandy „wielkiego skoku". Wiersze sławią komuny ludowe, wysoki urodzaj, nowe fabryki, ponadplanową produkcję.

GENERAŁ — SZEREGOWCEM...

Wa - Tao - Żeń prowadzi mnie do fabryki łożysk kulkowych. Zainteresowały mnie tu wielkie płachty czerwonej bibuły, którymi wyklejone są wszystkie ściany korytarzy.

— To jest Tac-bao — objaśnia Wa Tao-żeń. — Każdy kto chce coś lub kogoś skrytykować może tu napisać swoje zdanie...

W gabinecie dyrektora, przyjmuje mnie 20-letni mężczyzna. Wszystko odbywa się zgodnie z tutejszym obyczajem: siadamy na niskich sofkach, przy niziutkim stoliku, co chwila wchodzą dwie młode kobiety w białych kitlach i dolewają do stojących przed nami porcelanowych czarek herbatę. Rozmawiamy także zgodnie z obyczajem: najpierw o pogodzie w Polsce i w Chinach, potem o kuchni polskiej i chińskiej, potem długo o fabryce.

Mój rozmówca jest zastępcą dyrektora. Dyrektor wyjechał na wieś do pracy.

— Czy ma tam rodzinę? — pytam.

— Nie. Po prostu u nas wszyscy pracownicy umysłowi spędzają jeden miesiąc w roku na pracy fizycznej. Dotyczy to przede wszystkim tzw. kadry, tj. wyższych urzędników. Nasz dyrektor dwa tygodnie przepracował w tej fabryce, a na następne dwa tygodnie pojechał na wieś. Chodzi o to — mówi mój rozmówca — aby kadry nie odrywały się od mas. Żeby szanowały i umiały wykonać każdą pracę, nawet najcięższą. Taka jest polityka naszej partii. Nawet generałowie co roku udają się do odległej jednostki, gdzie służą przez jeden miesiąc w charakterze zwykłego szeregowca.

ZA TYCH CO NA MORZU...

Dni postoju w Talienie przeciągają się w nieskończoność. Mróz przekracza 30 stopni. Jest suchy, ale w połączeniu z silnymi wiatrami, które swój początek biorą aż gdzieś w pustyni Gobi staje się nie do wytrzymania. Mamy przecież jeszcze w kościach potworne upały Afryki i południowej Azji. Jakże wydają się nam teraz rozkoszne!

Dziś wieczorem wigilia. W kuchni ruch. Kucharz robi co może, aby dobrą „wyżerką" poprawić nastroje. Wróżę, że jego wysiłki nie na wiele się zdadzą. Ochmistrz wyciągnął zakupioną jeszcze w Japonii małą cherlawą choinkę. Stoi teraz w messie. Wszyscy przychodzą, gapią się i robią kąśliwe uwagi:

— Choinka, widział to kto, żeby tak wyglądała choinka — gołomiotła nie choinka, strach na wróble...

Nie ma przekleństw i wyzwisk, którymi nie obdarzono by biednego japońskiego drzewka. Ludzie wyładowują złość, żal, smutek. Większość już od lat nie spędzała świąt w kraju. Snują się wspomnienia o świętach spędzonych na morzu, w obcych portach. Ktoś opowiada, jak w wigilię Nowego Roku musiał wypłynąć w 9 miesięcy trwający rejs. Ktoś inny opowiada, jak wracali statkiem z 7 miesięcy trwającego rejsu. Mieli przypłynąć akurat w sylwestrowy wieczór. Dla wielu miał to być pierwszy od lat sylwester z bliskimi, z żoną, dziewczyną. Żony wykupiły już zaproszenia na zabawę, szyły suknie, stroiły się... Kilkanaście mil przed Gdynią nastąpiła awaria... Wpłynęli do portu 3 stycznia... Ktoś wspomina, jak wyciągnięto go z sylwestrowej zabawy bo rozszalała się burza i trzeba było robić „ferholunek", a nazajutrz odpływali w daleki rejs. Nie miał już nawet czasu iść do domu...

Te opowieści pogarszają nastrój jeszcze bardziej. Wieczorem zasiadamy do wspólnej kolacji. Jesteśmy źli, zmęczeni, zdenerwowani. Szybko rozchodzimy się do kajut. To nawet nie dlatego, że się nie lubimy. Tęsknimy za innymi świętami, w innym gronie. Intuicją wyczuwamy nastrój, jaki panuje przy świątecznym stole w rodzinnym domu. Zastanawiamy się, czy nas wspominają, czy myślą o nas, czy wychylą za nas toast. Myśmy nasz pierwszy wspólny toast wznieśli „za tych co w kraju..."

Nie były to wesołe święta, wielu chyba za wiele wypiło. Odezwały się stare zapiekłe żale, prawdziwe i urojone. Minęły w ciężkiej atmosferze zdenerwowania i tęsknoty. Wiem jak trudno to zrozumieć, gdy siedzi się tu w kraju i marzy o dalekich podróżach i wielkich przygodach. A jednak...

Jest taki toast o Knucie Kristoferze, który postanowił tak jak bohater Juliusza Verne'a — odbyć podróż dookoła świata w 80 dni. Założył się o 50 butelek piwa z członkami klubu „Wagabundów", że tego dokona. Po trzynastu dniach przysłał depeszę z Nowego Jorku że poddaje się. Członkowie klubu „Wagabundów" czekali, że może jednak Kurt Kristofer przyjedzie. Minęło dobrych 67 dni... i wtedy dopiero wypili 50 butelek gorzkiego piwa... a my wypijmy wraz z nimi zdrowie włóczęgów, nawet tych, którym się nie udaje...

Wznieśmy toast — „Za tych, co na morzu"...

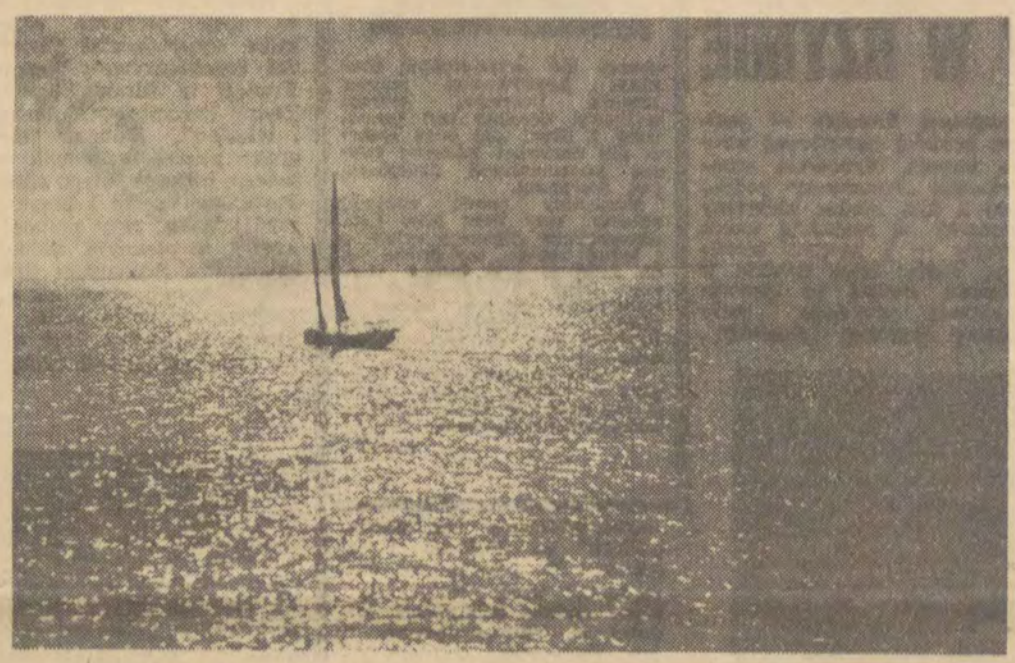

Stoję na pokładzie i patrzę w mroźną wietnamską noc... Wigilia... 35 tysięcy kilometrów od kraju...

„MIESZANKA FILMOWA“ prezentuje Wam na święta

CIEKAWE WIEŚCI Z CAŁEGO ŚWIATA

Niedawno pisaliśmy w „Mieszance“ o realizacji nowego filmu Michała Kałatozowa — „NIEWYSŁANY LIST“, z Tatianą Samojłową i Eugeniuszem Urbańskim w rolach głównych. Obecnie film został ukończony i ma wejść wkrótce na ekrany. Zapowiadana jest także pierwsza zagraniczna premiera „Listu“ — w Paryżu.

Powyżej — fotos z filmu, pełne ekspresji zdjęcie, tak charakterystyczne dla operatora Urussiewskiego.

ZSRR

CUDZOZIEMCY W RZYMIE

Rzym przeżywał w tym roku istny najazd zagranicznych gwiazd i reżyserów. Nic dziwnego — podobno ze wszystkich krajów europejskich najtaniej kalkuluje się kręcić filmy we Włoszech. Działa tu szereg przyczyn: najtańsi statyści, najgorzej opłacany personel techniczny i pomocniczy, a przede wszystkim korzystna dla cudzoziemców relacja wymienna dolara i lira. Hale zdjęciowe „Cinecity“ są nowoczesne i dobrze wyposażone. A przede wszystkim mają Włochy świetne warunki plenerowe — dużo pogody, słońca, romantyczność pejzażu.

Bawi więc we Włoszech od niedawna francuski reżyser Roger Vadim, wraz z żoną Anette Stroyberg. Vadim po sukcesie „Niebezpiecznych związków“ (choć film ten nie jest wyświetlany poza granicami Francji) — jeszcze bardziej ugruntował swoją pozycję. Wytwórnia amerykańska „Paramount“ podpisała z nim bardzo korzystny kontrakt na realizację trzech filmów — z których pierwszy, Vadim kręci właśnie w Rzymie. Będzie to uwspółcześniona adaptacja mało znanej powieści „Carmilla“, pióra osiemnastowiecznego pisarza angielskiego Sheridana le Fanu.

Inna ekipa — tym razem amerykańska — kończy zdjęcia atelierowe do nowego „superfilmu“ „Bitwa pod Maratonem“. Amerykanom nie przeszkadza jakoś różnica kultur hellenistycznej i rzymskiej, skoro rekonstruują zdarzenia z historii Grecji w scenerii rzymskich zabytków. Inna sprawa, że magazyny atelier „Cinecita“ jako jedyne na świecie mogły pokryć zapotrzebowanie realizatorów „Bitwy“ na kostiumy i rekwizyty. W „Bitwie pod Maratonem“ obok hollywoodzkiego aktora atletycznej budowy — Steeve Reevesa — gra Francuzka Mylene Demongeot. Możecie ją podziwiać z partnerem na załączonym zdjęciu.

* * *

Filmowcy Jugosławii też szukają współpracy z Włochami. Zakończony został ostatnio film koprodukcyjny obu tych państw „Jovanka“ — o pięciu Jugosłowiankach ostrzyżonych przez partyzantów za utrzymywanie kontaktów z Niemcami. Realizacją filmu kierował popularny włoski producent — Dino de Laurentis, reżyserem był Martin Ritt (z Jugosławii), a większość plenerów kręcono we Włoszech.

WŁOCHY

NIE KAŻDY ANIOŁ-DOBRY...

Wiele oczekiwań i domysłów poprzedzało ukazanie się na ekranach nowej wersji filmu „Błękitny anioł“. Po raz pierwszy zrealizowano adaptację popularnej powieści Henryka Manna — „Profesor Unrat“ — 28 lat temu. Ogromny sukces odniosła wówczas Marlena Dietrich w roli kabaretowej tancerki, w którą zakochuje się poważny profesor gimnazjalny (grał go wówczas — Emil Jannings).

W nowej, współczesnej wersji występuje szwedzka aktorka May Britt, jej partnerem jest niemiecki aktor Curd Jürgens. Niestety, odmłodzony „Anioł“

okazał się artystycznym fiaskiem. Amerykański reżyser Edward Dmytryk, którego ciężkawy, dosadny styl pamiętamy z filmu „Za cenę życia“ — nie dorównał talentem swemu poprzednikowi Josephowi von Sternberg.

Szczególny zawód sprawili aktorzy. May Britt jako Lola demonstruje wprawdzie sylwetkę i ładną buzię, ale daleko jej do fascynującego uroku Marleny. Curd Jürgens — jak we wszystkich swoich ostatnich filmach — nieruchomą maską pokrywa swe aktorskie ubóstwo...

I nawet unowocześniona technika — barwa, szeroki ekran — nie potrafiły tchnąć życia w sentymentalny romans.

(JAW)

USA

GUINESS — AGENTEM I. S.

Alec Guiness w nowej roli! Tym razem — w filmie Carola Reeda („Niepotrzebni mogą odejść“, „Maskotka“).

Guiness gra rolę szefa brytyjskiej firmy w Havanie, na Kubie — który dziwnym zbiegiem okoliczności zostaje agentem Intelligence Service i wplątany jest w różne sensacyjne przygody. Oczywiście — działalność wywiadowcza angielskiego kupca pokazana jest ironicznie i komediowo.

Krytycy brytyjscy i francuscy bardzo chwalą nowy film Reeda. Szczególnie wysoko oceniany jest dowcipny scenariusz samego Grahama Greena — i urocza kreacja Guinessa.

(J)

FRANCJA

FERNANDEL...

— Niech żyją krowy, niech żyje wolność! — to były pierwsze słowa, które wypowiedział Fernandel przekroczywszy granicę Francji w filmie reżyserii Henri Verneila pt. „Krowa i więzień“. Bohater filmu grany przez Fernandela był jeńcem hitlerowskiego obozu. Postanowił uciec i przekroczyć granicę, przy pomocy... krowy o pięknym imieniu Marguerite. Scenariusz filmu Henri Verneil oparł na autentycznym wydarzeniu. W filmie Fernandel nosi imię Antoine, zaś krowa Margeritte „w cywilu“ wabi się Dora. Dla ścisłości dodać trzeba, że wskutek trudów realizacji filmów — chudną nie tylko ludzie. Krowa Dora schudła o całe 20 kg.

A. N.

... i KROWY

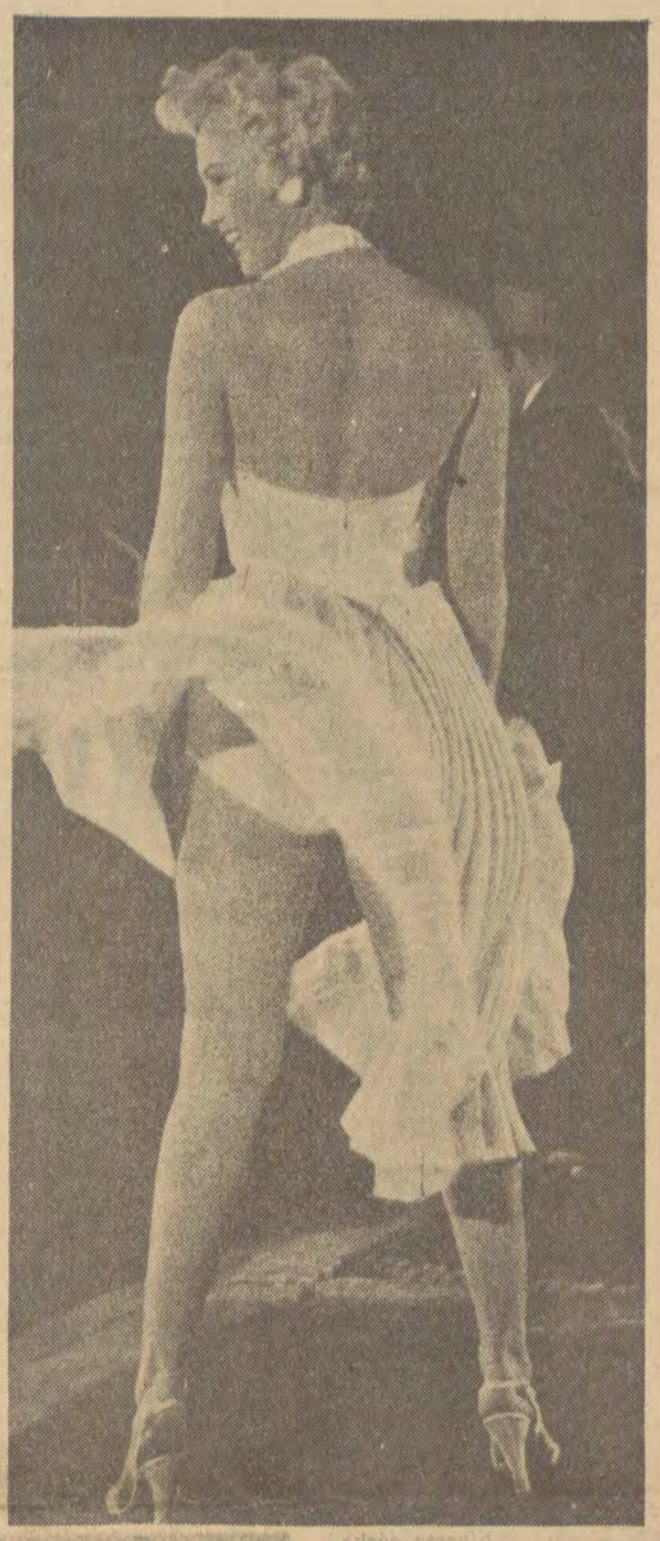

Marilyn Monroe kończy zdjęcia do filmu muzycznego „Multimilionerka“, gdzie występuje w roli ubogiej chórzystki rewiowej, która po latach odnajduje nagle nieznanego dotąd ojca — multimilionera.

USA

„SCIENCE-FICTION“ po amerykańsku...

„Pionier przestrzeni“ — to nowy film amerykański, który ukazuje pierwszy lot człowieka w kosmos. Cała historia została jednak potraktowana w dość swoisty sposób. W temacie naukowo-fantastycznym zabrakło elementów nauki — a pozostała wyłącznie fantazja, zresztą w dość podłym gatunku. Reżyser Robert Day potraktował fabułę filmu jako pretekst dla odgrzebania tematu „Frankensteina“: Na skutek promieniowania kosmicznego pilot wraca na Ziemię jako potworne, przerażające monstrum.

Film Daya ma być ostrzeżeniem dla tych, którzy chcą wtargnąć w tajemnice wszechświata. Morał znany i typowy dla produkcji Hollywood...

...i japońsku

Japonia też spróbowała podjąć gatunek „science fiction“ — tematykę naukowo-fantastyczną. Oto pokrótce treść filmu „Tajemniczy wysłańcy“.

Jedna z planet dalekiego układu słonecznego zostaje zupełnie wyniszczona na skutek długotrwałej wojny atomowej. Tylko niewielkiej liczbie mieszkańców owej planety udało się uniknąć zagłady i ujść w rakiecie kosmicznej. Grupa tych istot — w gruncie rzeczy zupełnie do ludzi podobnych — poszukuje więc innego globu, gdzie by istniały sprzyjające warunki. Wybór ich pada na naszą Ziemię. Ziemianie chętnie by może przyjęli przybyszów, ale ci próbują opanować nasz glob przemocą, narzucić swoje prawa i obyczaje. W obliczu niebezpieczeństwa skłócona ludność tworzy jednolity front, który jest w stanie przeciwstawić się groźbie podboju.

Japoński film, wyświetlany już w wielu krajach — jest bardzo życzliwie przyjmowany przez publiczność i krytykę. Podkreśla się wyraźną tendencję filmu — ostrzeżenie przed skutkami wojen atomowych.

(jaw)

NOWE FILMY RADZIECKIE

Na ekrany kin Związku Radzieckiego wchodzi co miesiąc kilka filmów produkcji radzieckich wytwórni filmowych. Rzucającą się w oczy cechą najnowszej radzieckiej produkcji filmowej jest różnorodność tematów w filmach. twórców starszego i młodszego pokolenia.

Reżyser Wengierow zakończył realizację filmu „Bałtyckie niebo“ wg powieści Czukowskiego. W licznych epizodach realizatorzy ukazują trudne warunki życia mieszkańców otoczonego przez Niemców Leningradu. Wiele sekwencji filmu przedstawia niesłychanie niebezpieczne loty radzieckich lotników. Zdjęcia plenerowe zrealizowano nad jeziorem Ładoga, jedyną wolną drogą łączącą w czasie wojny zablokowany Leningrad z zapleczem radzieckim.

* * *

Para reżyserska: Raszewska i Bergunter zrealizowali adaptację filmową znanej powieści Turgeniewa „Ojcowie i dzieci“. Krytyka radziecka przyjęła film bardzo chłodno, zarzucając realizatorom zubożenie treści dzieła Turgeniewa oraz niejasny i nieudolny montaż epizodów, które w powieści są ze sobą harmonijnie powiązane.

* * *

Z bardziej przychylnym przyjęciem spotkał się film scenarzysty Frejlicha i reżysera Wojnowa „Dla wszystkich świeci słońce“. Twórcy filmu podjęli temat współczesny. Film opowiada historię młodego nauczyciela, który podczas wojny stracił wzrok. Niestety, po wyjściu ze szpitala młody, przystojny mężczyzna traci nie tylko możność widzenia. Porzuca go żona, w szkole dyrektor stwarza wrogą mu atmosferę. Jedyną osobą, która opiekuje się Mikołajem (takie imię nosi bohater filmu) jest zakochana w nim pielęgniarka. Dzięki niej, jej opiece i miłości młody nauczyciel odzyskuje wiarę w ludzi i życie. Kameralny ten film wyróżnia się dobrą reżyserią i grą głównych wykonawców: Alesznikowej i Zubkowa.

* * *

Nową komedią zrealizowaną przez filmowców gruzińskich jest „Kwiatek na śniegu“. Jej tytuł autorzy filmu wywodzą od bardzo rzadko rosnącego kwiatka wysokogórskiego, przynoszącego szczęście wytrwałym jego poszukiwaczom. Bohaterem komedii reżysera Managadze jest zoolog z Tbilisi, bardzo skromny i spokojny młodzieniec. Ale nawet na skromnego i cichego też przychodzi „kryska“ — w postaci pięknej dziewczyny. Oczywiście jak przystało na zakochanego młodziana, porzuca on pracę naukową i szaleje z miłości do pięknej dziewczyny, która początkowo drwi z zalotów miłosnych młodego zoologa. Oczywiście na wspólnej wycieczce w górach wszystko kończy się dobrze.

Większość plenerów filmu zrealizowano w górach Kaukazu. Dodatkowym walorem tej miłej gruzińskiej komedii są piosenki kompozytora Łagidze.

A. NIEŚMIAŁEK

ZSRR

Mieszaniny

pod redakcją JANA HUSZCZY

Kalendarz świąteczny

16—23. XII. Tydzień porządków przedświątecznych. W tym tygodniu każda pani domu (mieszkania, klitki lub sublokatorskiego pokoju) uważa za punkt honoru przewrócić wszystko do góry nogami, poprzestawiać i przetasować w imię bardzo szczytnej zasady porządku. Jeśli pan domu nawet po upływie miesiąca nie znajdzie teczki, swojej sztucznej szczęki lub papucia z lewej nogi i ważnych aktów biurowych — to znaczy, iż porządek był przeprowadzony w sposób najbardziej gruntowny i konsekwentny.

W czasie tygodnia porządków nie należy pani domu pokazywać się na oczy. Zawsze burknie, iż zawadzamy. Albo jeszcze raz będzie domagała się pieniędzy na wydatki świąteczne. Najlepiej w tym okresie wychodzić z domu, gdy jeszcze wszyscy śpią i wracać, gdy już wszyscy śpią.

24. XII. Od rana z niecierpliwością oczekiwać pierwszej gwiazdki na niebie lub — w razie mgły — pierwszego neonu na Piotrkowskiej ulicy. W dniu tym wszyscy przypominają podchorążaków, którzy oczekują pierwszej gwiazdki na naramiennikach.

Z pojawieniem się pierwszej gwiazdki (lub pierwszego neonu) należy spokojnie i z godnością zasiąść do stołu wigilijnego. Tłoczenie się nie jest wskazane. Podstawianie nogi, by zająć lepsze miejsce, także nie jest wskazane.

Przy dzieleniu się opłatkiem wypowiadamy tradycyjnym, przyjętym w Millenium zwyczajem te mniej więcej słowa: „Oby następne święta były lepsze..."

Po wstaniu od stołu śpiewamy kolędy. Fałszowanie jest w tych wypadkach absolutnie dozwolone, gdyż można je tłumaczyć wzruszeniem. Jednocześnie — śpiewając lub nieznośnie fałszując — zapalamy świeczki choinkowe. Ze względów czysto oszczędnościowych i z uwagi na „szczyt", elektryczność w tym czasie należy zgasić.

25—26. XII. Święta! Upragnione i wyczekiwane łączą się, niestety, z wizytami nie upragnionych i nie wyczekiwanych gości, ciotek, przyjaciół...

Każdego trzeba ugościć. Kombinuj, jeśliś mądry: na stole jedna posiniaczona kura faszerowana, maciupeńka szyneczka — a gości multum. No, i kombinują przemyślne panie domu w ten sposób, żeby jakoś i gość był zadowolony i kura cała:

— A wie pan, co za szczęśliwy zbieg okoliczności?! Na kurę po wydatkach na spirytualia — już prawie nie było pieniędzy, aż przychodzi jakaś kobiecina z płaczem prawie: „Ostatnia kurka zdechła, niech pani ją weźmie za 50 złotych, tak świeżo zdechła..." „I rzeczywiście kura się udała... Proszę, niech pan spróbuje jeszcze kawałątko... Czemu pan blednie?..."

Oczywiście, w dni świąteczne musimy składać także życzenia. Oto kilka stereotypów życzeń:

„W dniu tak uroczystym życzenia szczęścia, zdrowia, powodzenia!" (Banalne...)

„Życzę syna i córeczki!" (Jest to życzenie rubaszne, wypowiada się je przeważnie pod adresem obdarzonego pięcioma pociechami rodzica, pracującego w zawodzie nauczycielskim lub na poczcie..)

„Czegóż by ci, Dzidziuchno, życzyć? Aha, już wiem: lepszego fryzjera, bo ten to naprawdę kiepsko ci te twoje siwe kudły maluje..." (Życzenie jednej przyjaciółki dla drugiej...)

W dobrze zrozumianym interesie ludzi „nie stroniących od kieliszka" podajemy kilka cennych, a niejednokrotnie wypróbowanych wskazówek:

1) nie zaczepiać nieznajomych luster w lokalach, nawet jeśli ma się w ręku butelkę po piwie;

2) nie wypychać kelnera na schody w przekonaniu, że to ktoś z rodziny żony;

3) w czasie wznoszenia toastu na cześć gospodarzy, nie klaskać po twarzach sąsiadek;

4) nie składać podań o posadę na przystankach tramwajowych i nie wrzucać listów do torebek przechodzących pań;

5) nie używać fortepianu jako maszyny do pisania, gdyż powszechnie wiadomo, że fortepian ze względu na pedał świetnie nadaje się do ćwiczeń dla chcących opanować sztukę szycia na maszynie nożnej;

6) do apteki po jabłka dla dziadka do orzechów nie wchodzić przez szybę wystawową, nawet jeśli drzwi są zamknięte...

Wesołych Świąt!!!

Przegląd prasy

Ze względu na nadciągający karnawał — zanim go podsumujemy i analitycznie ocenimy — sięgamy do autorów opisujących karnawały z przełomu wieków, aby przypomnieć szanownym czytelniczkom i urodziwym czytelnikom atmosferę tych dawnych, widzianych (rzecz jasna!) oczami satyryków...

Na balu

Upojony jej wdziękami,
Czarem, który był w jej oku,
Znalazł nagle się młodzieniec
U prześlicznej panny boku.

Ach, jak nęci go i kusi
Z najcudniejszych cudna dama,
Raj mu świta przed oczyma...
Wtem spostrzega go jej mama...

On rozmawia: — Jakże pani
Na tym balu czas ulata? —
Ona lekko oczy mruży...
Obserwuje go już... tata...

Ona usta swe rozchyla,
Usta niby z róży płatka...
Z trzepotaniem się motyla
już go widzą oczy... dziadka...

Potem szczerzy białe ząbki,
Pieści wachlarz — złota łapka!
Pantofelka widać nosek...
Lecz — ot, bada go już... babka...

I nim zdążył się dowiedzieć,
Że na imię jej Otylia,
Już go społem osaczyła
Całuteńka jej familia...

Zaś do domu kiedy wracał,
Miał szum w głowie jak po winie,

Ale zdawał sobie sprawę.
Że się z biedy... nie wywinie!

Pigmalion (Adolf Starkman)

Z przysłów karnawałowych

Nigdy z starą damą nie leć w kontredanse,
Bo jej się przypomną przebrzmiałe romanse.

Choć z panną posażną czule balansujesz,
Jeśli jesteś goły, nic nie wytańcujesz.

Z młodzieńca, co w tańcu zwija się jak fryga,
Bardzo często w życiu jest ogromna figa.

Nie lekceważ grajka, co na bal się stawił,
Bo gdyby on nie grał, ty byś się nie bawił.

Nigdy waść się nie daj łudzić słówkom masek,
Bo po ich słodyczach poznasz wielki kwasek.

Nigdy, moja panno, nie bierz męża z tańca,
Bo zamiast rozkoszy, los da ci sztukańca...

Z ROZMÓW

— A jak się udał bal u szanownych państwa?

— Doskonale! Został prawie cały kawior.

NA BALU

— Kto to jest ta dama tak silnie wydekoltowana?

— To jedna ze znakomitych ziemianek. Świetnie podobno prowadzi gospodarstwo.

— Jakie?

— Dokładnie nie wiem, ale sądząc z pozorów, to chyba gospodarstwo mleczne.

NIE WIDZIAŁ...

Na balu akademickim hrabina S... jest bardzo silnie dekoltowana. Inne panie omawiają fakt ten bardzo żywo. Pani ...ska zwraca się do dziennikarza pana X... ze zdziwieniem:

— Czy widział pan już coś podobnego?

— Odkąd mnie odłączyli... nie!

Informacje

W „Kąciku" z 25 października br. przyrzekliśmy naszym Czytelnikom informacje na temat przyjęcia przez przedsiębiorstwo „Obsługa Ratalnej Sprzedaży" sprzedaży ratalnej pojazdów mechanicznych. Obecnie jesteśmy w stanie podać dalsze szczegóły.

Klient, pragnący zakupić samochód na raty, winien jak dotychczas, złożyć wniosek w „Motozbycie", w ustalonych przez to przedsiębiorstwo terminach. „Motozbyt" po przyjęciu na swoje konto pierwszej wpłaty za pojazd wydaje klientowi druki zaświadczeń dla nabywcy i żyrantów oraz skierowanie do przedsiębiorstwa „ORS" dla uzyskania czeku kredytowego. Po złożeniu właściwie

wypełnionych zaświadczeń oraz weksla, klient otrzymuje czek kredytowy na kwotę wystawionego weksla i odbiera pojazd w „Motozbycie". Od udzielonego kredytu „ORS" pobiera tylko $2^1/_2$% opłat, koszty ponoszone przez zainteresowanych nie będą więc większe niż to miało miejsce dotychczas. Wozy sprzedawane na raty są w dalszym ciągu przymusowo ubezpieczane w PZU. Wszelkie formalności załatwiane są nie przez ajentów, a bezpośrednio w dyrekcji przedsiębiorstwa „OSR" przy ulicy Próchnika 5 i to w ciągu jednego dnia.

Jak nas zapewniła dyrekcja „Motozbytu" i dyrekcja „ORS-u", oba przedsiębiorstwa dołożą starań, aby klient był obsłużony szybko i sprawnie.

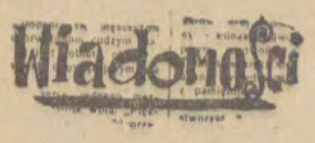

NOWE STACJE BENZYNOWE

Centrala Produktów Naftowych buduje w chwili obecnej na terenie m. Łodzi trzy nowe stacje benzynowe. Powstają one: na ulicy Armii Czerwonej, Łagiewnickiej (róg Kowalskiej) i przy ulicy Wojska Polskiego (róg Widok). Jeśli tylko wykonawcy dotrzymają terminów, stacje będą czynne w pierwszych tygodniach po nowym roku.

NIE BĘDZIE „FELICJI"

Jak się dowiadujemy, zrezygnowano definitywnie z zakupu w roku bieżącym czeskich kabrioletów marki „Skoda Felicia", których nadejście zapowiadaliśmy w naszym „Kąciku" z 12 lipca br.

...że zatrzymana od niedawnego czasu produkcja „Mikrusów" ma być podobno od nowego roku ponownie wznowiona?... Powołano bowiem specjalną Komisję rządową, która ma zadecydować, czy na bazie „Mikrusa" nie da się produkować trój-wzgl. czterokołowych... furgonetek. Łączyłoby się to naturalnie ze zmianą mocy silnika (furgonetka, szczególnie na wiejskich drogach — a takie były założenia — z 300 cm³ silnikiem nie zda bowiem egzaminu). Jeśli zmieni się silnik dla furgonetki, powiedzmy, na 500 cm³, to dlaczego nie produkować takich właśnie samochodzików, w których najsłabszą częścią był właśnie silnik a najlepszą nadwozie, które przy budowie furgonów musiałoby ulec całkowitej zmianie... Do takich ponoć wniosków doszła komisja już na wstępie swych prac...

...uliczki na nowych łódzkich osiedlach, chociaż pięknie wyasfaltowane, są tak wąskie, iż dwa samochody osobowe z trudem się mijają?... Czyżby budowniczowie przypuszczali, że po tych ulicach nie będą w ogóle jeździć samochody, a tylko... motorowery?...

* * *

...dystrybutory na stacjach benzynowych są umieszczone tak blisko budynków stacyjnych, że możliwy jest podjazd tylko z jednej strony?... Przecież nie mamy ujednoliconych typów wozów i wlewy zbiorników paliwowych są w samochodach umieszczane w różnych miejscach; czy nie należałoby pomyśleć o tej sprawie przy przebudowie starych stacji i budowie nowych stacji CPN-u?...

* * *

...chcąc kupić samochód z importu na raty, trzeba uzyskać zgodę aż... Gabinetu Prezesa Rady Ministrów?... Droga do uzyskania tego „bezcennego" dokumentu jest jakoś dziwnie „zakonspirowana", w „Motozbycie" nie udzielają na ten temat bliższych informacji, a nieliczni szczęśliwcy uśmiechają się jedynie tajemniczo... Czy naprawdę dyrektor gabinetu premiera ma tak mało pracy, że musi się zajmować rozdziałem samochodów na raty?...

IV KONKURS „Dla Filumenistów"

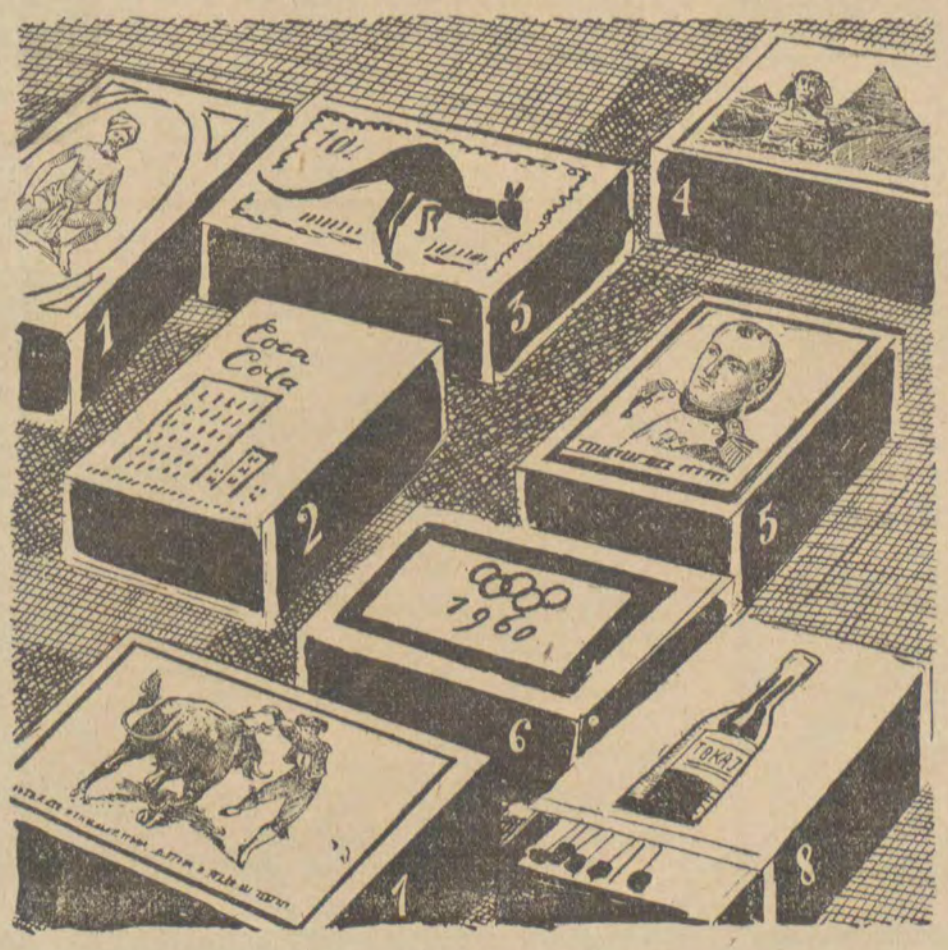

Filumenistyka — to jak wiadomo bardzo miła i nieszkodliwa mania zbierania etykiet zapałczanych. Ale czasem sprawia kłopoty. Otóż nasz znajomy filumenista otrzymał w prezencie świątecznym od przyjaciela z zagranicy kilkadziesiąt pięknych etykiet zapałczanych. Zaczął je segregować — i tu wynikły kłopoty. Oto na części etykietek nie było żadnych napisów wyjaśniających — i nasz zbieracz miał wątpliwości — z jakich krajów pochodzą.

Postanowiliśmy filumeniście przyjść z pomocą. Reprodukujemy poniżej tajemnicze etykiety, sądząc, że czytelnicy bez trudu odgadną, w jakich krajach zostały wydrukowane.

Odpowiedzi na kuponie konkursowym prosimy przesłać na adres Redakcji „Odgłosów" do dnia 5 stycznia.

I tak, jeśli odgadłeś prawidłowo konkurs „DLA FILUMENISTÓW", możesz wygrać:

10 cennych książek!

A jeśli bierzesz udział w innych naszych konkursach i dopisuje ci szczęście — masz szansę w 4 oddzielnych losowaniach zdobyć nawet 4 nagrody — 40 KSIĄŻEK!

KONKURS „DLA FILUMENISTÓW"

1	6
2	7
3	8
4	9
5	10

Redaguje Zespół :: Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 244-79 :: Warunki prenumeraty: miesięcznie 4.— zł, kwartalnie 12.— zł :: Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca :: Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy" :: Druk RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17 Zam. 3872. XII. S-4.

Danie główne

„PEGAZ" z udziałem Brzechwy, Potemkowskiego i Wiecha, sobota, 26 grudnia, godz. 18.25

Danie lekkostrawne

50 ZGADUJ-ZGADULA z udziałem Wacława Rokity i Andrzeja Przybylskiego (albo odwrotnie), sobota, 26 grudnia, godz. 20.15

Danie ciężkostrawne

„CYGANERIA" opera Pucciniego, transmisja z Pragi (czeskiej) przez Katowice, Niedziela, 27 grudnia, godz. 19.55

Przysmaki

„PTASZNIK Z TYROLU" — operetka w wyk. Muzycznego Teatru Telewizji z Katowic, Piątek, 25 grudnia, godz. 20.10

„ŚWIĄTECZNA BIESIADA" z „Wesołym autobusem", Sobota, 26 grudnia, godz. 14

BALET pod dyrekcją Ruth Sorel, libretto Michała Choromańskiego (tego od „Zazdrość i medycyna"). Niedziela, 27 grudnia, godz. 17.45

Deser

(ewentualnie po kolacji wigilijnej)

„NAWROCONY" widowisko wg opowiadania B. Prusa w reżyserii Adama Hanuszkiewicza, w obsadzie m. in. A. Dzwonkowski, K. Opaliński, T. Kondrat, Czwartek, 24 grudnia, godz. 21

Danie dla dzieci

„BAŚŃ O ZAKLĘTYM KACZORZE", widowisko kukiełkowe, Piątek, 25 grudnia godz. 17

ESTRADA dziecięca (zaporto-wana) transmisja z Berlina przez Pragę—Katowice, Niedziela, 27 grudnia godz. 9.55

200 tys. telewizorów w kraju i 18 tys. w Łodzi ● O problemie tego — i przyszłorocznym ● Czy nie będzie wtorkowej przerwy ● O formie sąsiedzko-spółdzielczej zakupu telewizorów

Rozmawiamy z dyrektorem Ł.O.T. WŁADYSŁAWEM ORŁOWSKIM

Jak Pan Dyrektor ocenia stan i rozwój telewizji w Łodzi na tle jej stanu i rozwoju w kraju? Wiadomo, że kapitalnym warunkiem wzrostu telewizji jest ilość telewizorów. Czynnik ten waży w ekonomicznej sytuacji XI Muzy. Ktoś kiedyś obliczył, że przy 200 tys. abonamentów przestanie ona być „ubogą krewną", tzn. że stanie się instytucją samowystarczalną, a co za tym idzie predysponowaną do szybszego rozwoju. Jednym słowem: jak przedstawia się baza odbiorcza (a więc i ekonomiczna) TV w kraju i jaki jest w niej udział Łodzi?

WŁ. ORŁOWSKI
CZYLI DYREKTOR

Jesteśmy wciąż jeszcze w tym szczęśliwym położeniu, że możemy mówić o łódzkim studio telewizyjnym i o aparaturze naszego ośrodka jako o najnowocześniejszych i najlepiej rozbudowanych w kraju, co oczywiście nie oznacza, że nie mamy wielu poważnych braków zarówno w wyposażeniu jak i w kadrze pracowniczej. Co do ilości abonentów własnych, to zajmujemy trzecie miejsce w kraju po stolicy i Katowicach, mając w swoim zasięgu ok. 18 tysięcy zarejestrowanych odbiorników telewizyjnych. W całym kraju ilość telewizorów sięga już dwustu tysięcy, a więc bliscy jesteśmy stanu w którym telewizja stanie się rentowna.

MY:

Napomknął Pan o brakach technicznego zaplecza TV. Czy w ciągu roku 1959 coś się w tym względzie poprawiło?

DYREKTOR:

Chyba niezbyt wiele. Udało nam się natomiast lepiej opanować warsztat telewizyjny, dzięki czemu Łódź włączyła się w widoczny sposób do programu ogólnopolskiego.

MY:

Co Pan sądzi o programie ogólnopolskim TV? Pytam zarówno o aspekt ilościowy (czy przeciętna 4 godzin emisji dziennej jest wystarczająca?) jak i jakościowy.

DYREKTOR:

Tu już stawia mi Pan pytanie drażliwe. Nie bardzo wypada mi oceniać program telewizyjny. Sądzę, że jest lepszy niż był rok temu. Nie wierzę natomiast w możliwość zadośćuczynienia wszystkim życzeniom telewidzów. Nie wierzę również w możliwość realizowania programu „bez pudła". We wszystkich telewizjach świata istnieją bardziej i mniej udane pozycje programowe i na to nie ma rady. Nie zwalnia nas to oczywiście od starań, by nasz program był możliwie najlepszy. Wymiar 4-godzinny programu uważam już teraz za trochę niewystarczający.

MY:

Ponieważ odpowiedział mi Pan na pytanie „drażliwe" — zadam jeszcze drażliwsze. Jak Pan ocenia program łódzki? Czy rok bieżący oznacza jakiś postęp w dziedzinie programu? Czy jest on obfitszy treściowo i bardziej urozmaicony, a nade wszystko czy zmienił on swój charakter „gadany" na bardziej telegeniczny?

DYREKTOR:

Program nasz ma niewątpliwie wiele braków, choć wydaje mi się, że mieliśmy w tym roku szereg bardzo dobrych pozycji, zwłaszcza w zakresie teatru telewizyjnego („Przy trakcie", „Wystrzał", „Upiory") i koncertów rozrywkowych, które bardzo się podobają w całym kraju.

MY:

Jakich ewolucji programowych oczekiwać możemy w roku 1960?

DYREKTOR

Program planowany na rok 1960 będzie bogatszy pod każdym względem. Zwiększy się znacznie ilość audycji rozrywkowych (spadną przy tym znaczne obowiązki na barki łódzkiego ośrodka), wymiar audycji teatralnych powiększy się o transmisje z teatrów krakowskich (Kraków otrzyma na stałe wóz transmisyjny), więcej będzie również audycji publicystyczno-informacyjnych, ulegnie prawdopodobnie likwidacji wtorkowa przerwa w programie.

MY:

Nasza redakcja przywiązuje ogromną wagę do telewizji jako pierwszorzędnego, nowoczesnego środka upowszechnienia kultury. Daliśmy niejednokrotnie wyraz temu stanowisku. Czy nie uważa Pan, że polityce kultury w naszym mieście za mało stawiają na telewizję? Mamy tu na myśli fakt, iż nie docenia się ani nie wykorzystuje społecznej gotowości do — nazwijmy to — sąsiedzko-spółdzielczego zakupu telewizorów, że tej formy odbioru telewizyjnego się nie propaguje ani też w jakiś organizacyjno-dystrybucyjny sposób nie preferuje. Na telewizor może patrzeć równocześnie 15—20 osób, a odbiornik może być wspólną własnością 4—5 rodzin, co obniża koszt zakupu a także go urealnia. Jaki jest Pański pogląd na tę sprawę?

DYREKTOR:

Świadomość wagi telewizji jako środka upowszechnienia kultury, acz powoli, toruje sobie drogę do umysłów. My jako pracownicy tej gałęzi twórczości pragnęlibyśmy oczywiście proces ten przyśpieszyć. Dlatego do projektu szerszego udostępnienia telewizji ludziom pracy odnieść się mogę jedynie z entuzjazmem i z gotowością współdziałania w tak pomyślanej akcji.

MY:

Co Pan sądzi, Dyrektorze, o „Odgłosach Telewizyjnych?

DYREKTOR

Wolałbym nie wdawać się w dyskusję z organem, który ma wszelkie szanse wzięcia sobie na mnie rewanżu. Pragnąłbym natomiast zaapelować do telewidzów nie o jakąś „taryfę ulgową" dla naszego programu, lecz o odrobinę tolerancji. Apel o tolerancję usprawiedliwia istniejące wielkie zróżnicowanie gustów. Jest ich bez mała tyle, ilu jest w Polsce telewidzów. Skazani więc jesteśmy na ustawiczny i wielostronny „obstrzał", co zauważam bez złośliwości. Sądzimy, że „obstrzał" krytyki może nam wyjść tylko na zdrowie.

„ODGŁOSY TV" CZYLI MY:

Rozumiem to jako ukłon w naszą stronę. Dziękuję. Spieszę zapewnić, że w tym „obstrzale" nasze „działa", wsparte „ogniem" telewidzów, nie będą milczeć. Na razie SALUT za pomyślny dla Telewizji, telewidzów i telepracowników rok 1960.

TE-RADY TECHNICZNE

TE-RAD Technicznych nie umieszczamy w nadziei, iż pracownicy TV dołożą wszelkich starań, aby w okresie świątecznym nie było żadnych zakłóceń w odbiorze.

OPINIE TELEWIDZÓW

LOT specjalizuje się w koncertach rozrywkowych, importując w tym celu nawet wykonawców z innych miast. NA ZDJĘCIU: artyści katowiccy Ludmiła Jakóbczak i Olgierd Buczek w koncercie reżyserowanym przez K. Oracza i J. Rzeszewskiego

Fot. R. BESLER

Przestańcie nas karmić „piroszkami z ryszem"

Na ekranach naszych telewizorów oglądaliśmy niedawno program estradowy dla młodzieży pt. „Felek i dookoła", nadany przez telewizję warszawską.

Po rozważeniu wartości dydaktycznych tej audycji nie pojmuję, po co zakwalifikowano ją do projekcji telewizyjnej. Bo też audycja ta — choć szumnie reklamowana — nic zawierała nie więcej ponad błahą, pozbawioną akcentów wychowawczych treść i nieprzecznie zbudowane dialogi. Wspomnijmy jeszcze scenografię utrzymaną w stylu jarmarczno-odpustowych fotografów i wreszcie ortografię na poziomie wychowanków przedszkola w Koziej Wólce.

Z planszy ilustrującej, co konsumują mieszkańcy naszego globu, dowiedzieliśmy się, że Chińczyk je „rysz", a inny mieszkaniec globu je „piroszki". Nie wiem, czy miał to być dowcip. Jeżeli tak — to wątpliwy, zważywszy że młodzież odbiera wszystko dosłownie.

Chciałoby się zawołać: — Mili Państwo, przestańcie karmić naszą młodzież „piroszkami z ryszem". Czy nie moglibyście stworzyć audycji młodzieżowej, opartej na utworach znanych i poczytnych autorów młodzieżowych powieści, audycji przynajmniej uzasadnionych pedagogicznie? Takiej jak „Ania z Zielonego Wzgórza" Montgomery'ego, „Opowieść Wigilijna" Dickensa, lub nadana przez telewizję łódzką adaptacja sztuki „Lizus".

Warto by pamiętać, że programy telewizyjne ogląda — w sumie około miliona osób. Telewizja ma wielkie znaczenie wychowawcze, jeżeli chodzi o widownię młodzieżową.

A co się podaje młodzieży do obejrzenia? Poza nielicznymi wyjątkami, zamiast filmów oświatowych musi ona oglądać albo filmy kukiełkowe, albo nieudolnie sklecone inscenizacje, albo potwornie brzydkie kukiełki, na których widok dzieci dostają szoku.

Krytyczne uwagi nie mogą ominąć również programu telewizyjnego teatrzyku dla dzieci pt. „Violinek". Przedostatnia audycja „Violinka" była [illegible] wiem pretensjonalną próbą dostosowania się poziomem do dorosłej „Stodoły" lub „Bim Bomu". Ckliwe piosenki [illegible] rowane na twórczości [illegible] dla dorosłych w [illegible] 8, 10-letnich malców budził[illegible] ły odruchy protestu zarówno dorosłych jak i młodzieży.

Omawiając program dziecięco-młodzieżowy telewizji można śmiało zaryzykować twierdzenie, że zamiast [illegible] hu-manitaryzmu i piękna zaszczepia się młodzieży kult brzydoty, złego smaku i wypacza się pojęcie o sztuce z prawdziwego zdarzenia.

Abstrakcyjne formy audycji telewizyjnych dla młodzieży lansowane przez niektórych silących się na oryginalność autorów, nie mogą być, moim zdaniem, tolerowane. Zamiast wzbudzić zamiłowanie dzieci do teatru odstręczają one od sztuki i budzą uzasadniony uraz do tego rodzaju „twórczości".

„Bawiąc się uczyć" — taka chyba zasada powinna przyświecać autorom audycji młodzieżowych.

ALEKSY MIKOŁAJEW
(Łódź)

*) Artykuł niniejszy drukujemy na zasadzie wolnej trybuny. Równocześnie zapraszamy naszych Czytelników i Telewidzów do wypowiadania się w tej rubryce.

Danie wyrobu niewłasnego czyli filmy

„Między niebem a ziemią" (dozw. od lat 14) prod. czeskiej. Piątek, 25 grudnia.

„Diabelski wynalazek" (dla młodzieży) prod. czeskiej. Sobota, 26 grudnia.

„Dzielny wojak Szwejk" (f. dubbingowany) prod. czeskiej. Niedziela, 27 grudnia.

„Mój mąż jest wspaniały" prod. francuskiej. Poniedziałek, 28 grudnia.

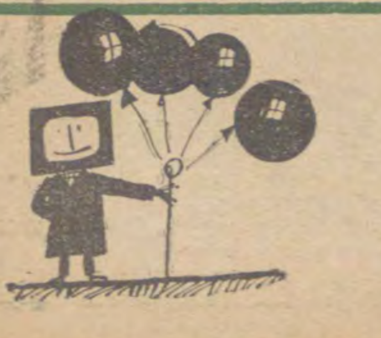

PAN TELEWIZOR ZAPOWIADA NADTO:

WIELKĄ ZABAWĘ SYLWESTROWĄ (w domu, na tzw. białej sali) w czwartek 31 grudnia.

„Wszystkie dzwony biją" (widowisko sensacyjne) — KOBRA z Katowic.

„Sylwestrowa estrada filmowa",

„Szopka noworoczna",

„Rewia" film prod. franc., dozwolony od lat 18.

Pan Telewizor nie ręczy, iż wszystkie wymienione dania zostaną na pewno Wam podane, albowiem p. Telewizor wybrał i polecił to co najsmaczniejsze w spisie. W razie, gdyby nie podano Wam wszystkiego i nie w terminie, p. Telewizor zawsze powie: Kolega (dyrektor programowy)! SMACZNEGO!

SMACZNEGO

WiMBP im. J. P. w Łodzi
10840-A
Prac. Red.